Nr. 28. **11. Września** **1860.**

Wychodzi we Lwowie w trzech arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. $2^1/_2$ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. $4^1/_2$ zł., kwart. $2^1/_4$ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. $157^1/_4$.

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego

(Ciąg dalszy.)

Rok 1860.

Szczęśliwemu szczęście, — powiada stare przysłowie. Kiedy szczęśliwy się żeni, oh! ileż-to szczęścia otwiera się przed nim! Ileż-to środków ma on w swych ręku, ażeby to szczęście upięknić, pomnożyć, urozmaicić, przedłużyć. Jeżeliż jeszcze do tego umie mądrze użyć tych środków, to słońce to, które wzejszło w dzień jego ślubu, już nigdy na jego niebie nie zajdzie — i świecić mu będzie przez całe życie i opromieni twarz jego w godzinę śmierci, i z grobu jeszcze, gdzie duże marmurowe trumny stoją w nierozerwanem zbrataniu przy sobie, odrzucać będzie rozrzewniające wspomnienie miłości i szczęścia na oddalone potomstwo... Ale nie tak się dzieje ubogim. Z troską o szatę weselną podaje ubogi rękę swej ulubionej, z trwożliwem wspomnieniem swojego ubożuchnego domku wraca od ślubu z drżącą niespokojnością o chleb powszedni na jutro rzuca się w miłościwe objęcia swej żony: a ledwie nieśmiałemi ustami dotknął się brzegu kielicha szczęścia, ledwie na oka mgnienie o swoich troskach zapomniał, ledwie-co zasnął, ażeby spokojnie i błogo o swoim raju zamarzyć, — jużci odzywa się dzwonek i budzi go swoim przerażającym głosem do pracy. Tak potem przez całe życie: troski i praca to rzeczywistość — a szczęście to sen, unoszący się nad nią wysoko i znikający w błękitach....

Dobiesław był ubogim i gorzej jeszcze niżeli ubogim, bo zapomniawszy o swoich troskach, mógł stracić nawet swoje ubóstwo. Jakoż zaledwie dzień oświtł po jego cichej nocy weselnej, on już się wyrwał z miłośnych objęć swej ulubionej i zaprzągł się do swej pracy. Przez kilkanaście dni potem ledwie późnym wieczorem powracał do domu, ażeby znowu przed wschodem słońca z ciężkim toporem w ręku naprawiać wiosła, zeszywać żagle, związywać spękane boki swego skołatanego okrętu....

Wszakże po kilkunastu dniach przekonał się, iż jego sprawa nie stała tak źle, jak sobie ją wyobrażał. Wprawdzie na rok bieżący nie można było obiecywać sobie choć jakichkolwiek dochodów z gruntu, bo większa połowa zbiorów uległa zepsuciu; ale Prusacy zostawili mu inwentarze i sprzęty gospodarskie w jakimkolwiek porządku, zostawili mu nawet niejakie zapasy w drzewie, w materyałach fabrycznych i zbytecznych narzędziach, a nadewszystko włożyli oni tak w fabryki, jak też i w ziemię, znaczne summy pieniędzy i pieniądze te tam były, i można je było ztamtąd jeszcze wydobyć. O to więc tylko chodziło, ażeby je rzeczywiście wydobyć....

Zapewne, że kto inny na jego miejscu był-by sobie w administracyi tego majątku postąpił inaczej. Jeżeli gdzie, to tu właśnie można było zaprowadzić od razu gospodarstwo forsowne, połączone z przemysłem i fabrykami, bo pierwsze lody już były przełamane i do wszystkiego założone podstawy gruntowe. Ale na to, ażeby takie gospodarstwo przedsięwziąść w roli, ażeby fabrykę materyałów drewnianych, gorzałki i piwa, prowadzić na własną rękę, potrzeba było znacznych funduszów: a on, nietylko takich funduszów nie miał, lecz nadto jeszcze miał długi. Jemu też przedwszystkiem innem nie powinno było chodzić o podniesienie dochodów, tylko o utrzymanie się przy majątku. Wszakże zrozumiał on swoje położenie dokładnie i wedle niego sobie postąpił. I trza mu było przyznać, iż sobie postąpił bardzo rostropnie.

Główną przyczyną, dla której ci, co kupują większe majątki niż ich fundusze, pogrążają się w wiekuiste kłopoty lub wreszcie popadają w bankructwo, nie jest to, że się oszukali na realnej tychże majątków wartości: ale zawsze i wszędzie to, iż z powodu braku należytej opieki nad rolnictwem, dochody własności ziemskich są nadzwyczajnie niestałe. Kto zaś ma długi na karku, których prowizya jest niezmienną i stałą a na jej spłacanie ma tylko dochody wiecznym a czasem nawet ogromnym ulegające zmianom, temu nic łatwiejszego, jak brnąć w długi coraz większe a wreszcie upaść zupełnie. Czy jest na to jaki ratunek? — Jeżeli jest, to oczywiście tylko ten jeden, ażeby przynajmniej tyle dochodów ustalić, ile wynosi roczna prowizya od długów. Zapewne, że takie ustalenie dochodów bardzo często jest niekorzystnem, ale porównawszy tę niekorzyść z niekorzyścią wynikającą z niebezpieczeństwa utraty całego majątku, zawsze trza pierwszej oddać pierwszeństwo. Zapewne także, iż takie ustalenie dochodów nie w każdym się da uskutecznić majątku: lecz u nas, gdzie prawie żaden majątek ziemski nie składa się z samych dochodów z roli, i gdzie przy

tak wielkiej ilości żydów a ciągle się pomnażającej przemysłowej ludności, nie masz żadnej intratnej gałęzi, na którą-by tuż pod ręką nie było dzierżawcy, prawie każdy dochodzik da się ustalić z łatwością. Wydzierżawiamy propinacye i młyny, gorzelnie i piwowarnie, tartaki i folusze, wręby lasowe, kamienio-łomy i cegielnie — a kiedy sobie chcemy zapewnić dochody z pastwisk, z łąk, z kawałków ornego pola, z mleka od krów, ze słomy i siana, z ogrodów warzywnych i owocowych, to i na to znajdujem dzierżawców. Dobiesław zrozumiał prędko te okoliczności miejscowe — a mając tak wiele odrębnych źródeł dochodu w swoim majątku, oprócz nich nawet całkiem odrębne folwarki, dał sobie radę z łatwością. Jakoż poustalał sobie zaraz na samym wstępie wszystkie dochody, które tylko ustalić się dały — a zrozumiawszy wreszcie i tę okoliczność miejscową, iż wydzierżawiając niektóre ważniejsze przedmioty, można było wziąć kilkoletnie pieniądze z góry i niemi, zamiast corocznych prowizyi, kapitalne długi pospłacać: i na to się zdecydował, chociaż powypuszczawszy nareszcie wszystko, został się sam tylko przy głównym Grodowiskim folwarku. W skutek tego poddał się tej wielkiej niedogodności, iż jego majątek napełnił się nieskończoną liczbą dzierżawców, w którem on sam nareszcie wyglądał prawie jak dzierżawca: ale za to osięgnął tę wielką korzyść, iż stanął od razu na pewnych nogach, miał zkąd z pewnością opłacać prowizye i ubezpieczył sobie posiadanie swego obdłużonego majątku na zawsze.

Stało się nawet jeszcze daleko więcej. Albowiem będąc należycie oględnym i cierpliwym przy wydzierżawieniu wszystkich źródeł dochodu, osięgnął z nich tak znaczną tenutę, iż ta, nietylko że przenosiła o wiele summę ciężącą na dobrach corocznej prowizyi, ale nawet, obrachowawszy wszystko z dokładną ścisłością, wyrównywała procentom od całego kapitału, który wydał za Grodowiska, i to w ten sposób, iż dochód z tego folwarku, który sobie zostawił, a który był dosyć znacznym, był już czystą korzyścią.... Skutek ten nadzwyczajny miał głównie do zawdzięczenia wybornie urządzonej gorzelni i głośnej już reputacyi równie wybornie urządzonego browaru; jakoż poczciwy kapitanisko, wykrywszy tę tajemnicę, cieszył się tem w dwójnasób, raz że się Dobiesławowi dobrze powiodło, a drugi raz, że mógł wykrzykiwać codziennie:

— Ot! głupie Prusaczyska! sami nie wiedzieli co mieli. Ale-to taki ten naród niemiecki! Kładź w łeb jak łopatą, a łeb zawsze jak w rogu. Znam ja ich dobrze; byłem przecież u nich w niewoli. Ale co? Kałmuki, baszkiry i kabardyńce, troglodyty i bucentaury, u których także bywałem, zawsze mnie zrozumieli: a z nimi zawsze jak z kobyłą w błocie. *Szrajben, szrajben,* mospanie Prusak! ale nie do gospodarstwa, a przynajmniej nie w Polsce, bo tu matnia na Niemcy.

I słuchali go wszyscy wesoło, bo i taki głos, lubo szorstki, zda się przy gospodarstwie. Najweselej go słuchał Dobiesław, bo była to przecież zawsze pochwała dla niego, który odniósł takie zwycięztwo nad Prusakami. Ze swego powodzenia w ogóle cieszył on się wprawdzie z umiarkowaniem, bo wiedział dobrze, iż możność płacenia procentów nie jest jeszcze zwycięstwem nad długami. Długi są jako śmierć: trza je zapłacić koniecznie. Jakoż widział on doskonale dalszą swą drogę. Nieustająca praca i jaknajściślejsza oszczędność były dla niego jedynemi środkami, mogącemi go zaprowadzić do celu. To też oszczędność i praca stały się jego hasłem, od którego postanowił sobie odstępować tylko o tyle, o ile na to zezwalać będzie dalsze jego powodzenie. Jednakże zawsze odniesione już dotąd zwycięztwo było dla niego źródłem nieocenionej pociechy. Albowiem przez uporządkowanie interesów przyniosło mu pewność siebie i spokój — a przez osiągnięte korzyści otworzyło nadzieję dalszych powodzeń i dało mu wielką w jego własnem gospodarstwie swobodę. Jakoż z wesołem sercem, z śmiejącą twarzą, przystąpił on do urządzenia swego gospodarstwa i domu — i postąpił sobie tu także tak oględnie i mądrze, jak wszędzie indziej.

Przedwszystkiem tedy usiłował on wyrobić to, ażeby teść jego wraz z kapitanem porzucili dzierżawę Wierżbnej a osiedli u niego. Dzierżawa ta bez Klotyldy była-by nie mogła iść dobrze, — rozerwanie rodziny było-by pociągało za sobą niemałe straty czasu — fundusze obracające się w Wierżbnej zdały się lepiej w Grodowiskach — a oprócz tego zdali mu się jeszcze obadwaj ci ludzie, którzy tam pracowali. Pomnożywszy tym środkiem swoje gospodarskie fundusze i siły nadzoru, uczuł on się jeszcze daleko swobodniejszym w urządzeniu swego gospodarstwa i urządził je rzeczywiście bardzo pięknie i systematycznie. Zaraz w pierwszych dwóch leciech okazały się rezultaty zadziwiające. Z pozostawionych przez Prusaków chudych i nędznych owiec, skutkiem umiejętnego przebrakowania i starannego żywienia, zrobiła się bardzo piękna i intratna owczarnia. Również przebrakowane i sowicie żywione bydło zrobiło jego oborę wzorem dla sąsiadów: jego woły robocze wyorywały dziennie dwa razy tyle niż inne, jego rozkoszne krowy, obudzając zazdrość sąsiadów, przynosiły nieustającą pociechę Klotyldzie, a wyrabiane pod jej dozorem a za jego przepisem holenderskie sery uzyskały zaszczytny medal na wystawie rolniczej. Kto lubił konie, mógł się także czegoś nauczyć. Dobiesław bowiem, idąc wbrew powszechnie u nas przyjętemu mniemaniu, że najkorzystniej jest robić ślepemi i kulawemi szkapami, które żyją powietrzem, dobrał sobie stajnię koni dużych a zwięzłych, których utrzymanie kosztowało go wprawdzie o wiele więcej, ale z których też za to miał o wiele więcej korzyści. Konie te bowiem pracowały codziennie, pracowały w dwójnasób, kiedy tego potrzeba było, wyglądały bardzo przyzwoicie w powozie, a nadto jeszcze obiecywały piękny i intratny przychówek. Zgoła o niczem tam nie zapomniano w jego gospodarstwie — a czy-to trzody chlewne, czy ptactwo domowe,

wszystko to było duże, okrągłe, wesołe, i już na pierwszy rzut oka dawało świadectwo gospodarzowi, iż udzielonego sobie od Boga królowania nad rodem zwierzęcym używa na chlubę swojego serca i rozumu. Wszakże najwięcej uczynił Dobiesław w roli. Miał on wprawdzie wielkie ułatwienie do tego, raz przez to, iż Prusacy popakowali w role niezmierne ilości wapna, marglu i rozmaitych sztucznych nawozów a nie mieli czasu ich wyssać, a drugi raz przez to, iż wielka gorzelnia i wielki browar dawały mu już gotową a znaczną ilość nawozów. Mimo to jednak trzeba tu było zawsze dokładnej znajomości rzeczy i roztropności, ażeby z tych środków istotne powyciągać korzyści, bo jak to kilka razy wspomniano, już Krzesław bardzo łakomie powysysał te role, a Prusacy, skutkiem swojej niepraktyczności, nie powrócili im wcale straconej siły. Mniejsza tu było zresztą o role niskie i dobrze uposażone z natury, taka ziemia nie da się tak łatwo wyniszczyć a łatwo się daje odżywić; ale chodziło głównie o te ogromne obszary ról położonych wysoko, lekkich, nieurodzajnych, które wielkiemi zasiewami owsów wysysano od wieków, a o których odżywieniu dotąd nikt nie pomyślał. Jedynym przystępnym środkiem odżywienia i upożytecznienia ról takich są ugory naturalne i sztuczne; ale i takie środki są bardzo kosztowne, bo pociągają za sobą najpierw ubytek zwyczajnych zbiorów, a powtóre znaczne nakłady na nasiona roślin pastewnych. Jednak Dobiesław, mając spokój i zapewnione dochody z gałęzi innych, był w stanie podjąć ten nakład — a posiadając znajomość rzeczy gruntowną, wykonał tę pracę umiejętnie. Było też to niezmiernie zajmującem, widzieć u niego ogromny kawał ornego pola, podzielony na kilkanaście kwader i zasiany kilkunastoma gatunkami tych roślin, które w zmieszaniu ze sobą rosną po wszystkich polach, ale których uprawy osobnej jeszcze u nas nigdzie nie widać. Ta szkółka, przeznaczona na produkcyę nasion, była najulubieńszym przedmiotem jego zajęcia — a jaką tylko chwilę miał wolną, trawił ją na wędrówkach po polach i lasach, szukając nowych gatunków traw, zbierając je, porównywając z ich rysunkami w dziełach botanicznych, wycierając ich nasiona, zasiewając je i pielęgnując na grzadkach. Była to praca niemała, wymagająca wielkiej pilności i wytrwałości ale też za to przynosząca już teraz odpowiednie owoce a obiecująca jeszcze piękniejsze na przyszłość. Już bowiem teraz zieleniły się pięknie dotychczas nagie ugory, owce i konie miały na nich wyborne pastwisko, była już pewna nadzieja, iż niebawem zamienią się w dobre pastwisko dla bydła, a co ważniejsza, był pewny widok, iż pola te, które dotychczas zaledwie raz we trzy lata liche rodziły owsy, zasilone i związane ze sobą gęstemi korzeniami traw, będą rodzić pszenice i żyta. Natenczas wartość Grodowiskiego folwarku do niepoznania się zmieni: pomieści i wyżywi on dwakroć tak liczne zbiory, a administrowany umiejętnie, może sam przynieść daleko większe dochody, niżeli dotychczasowa gotówka z całego państwa.

Otwierając sobie takie widoki, nie tworzył on wcale obrazów złudliwych, które tak łatwo stwarza rozgrzana przedsiębiorczego człowieka fantazya a które potem tak często zawodzą; owszem przeciwnie, budował on swoje nadzieje tylko na rezultatach już dokonanych przez siebie doświadczeń a i te jeszcze obcinał, przypuszczając, jak słusznie, rozmaite nieprzewidziane wypadki. Zapewne że u nas, gdzie wszystko od dołu do góry jest jakby prowizoryczne, jak gdyby w nieustającym stanie przechodu, a zatem wszystko nieprzewidziane, mogą i najskromniejsze nawet nadzieje omylić. Ale przedsiębiorąc coś i pracując, nie podobna żyć bez nadziei, bo tylko ona jedna jest powodem i bodźcem do pracy. Jakoż nadzieje te Dobiesława dzielił z nim cały dom jego — i wszyscy pomagali mu w pracy. — Z niektórymi współpracownikami swoimi, a mianowicie z Wapnowskim i kapitanem, miał on wprawdzie z początku niemało kłopotu. I temu i owemu wiele się rzeczy nie podobało a obadwa, przesiąkli tradycyjnemi w gospodarstwie pojęciami i obyczajami, nie mogli długo nagiąć się do teoryi Dobiesławowych, tu nie bywałych. Tak Wapnowskiemu bardzo się to nie podobało, że w Grodowiskach każdą wiązkę słomy i siana ważono na funty, że chleb rozdawano sługom nie podług objętości lecz podług wagi, że na każdą robotę i na każdy spoczynek wielkim dzwoniono dzwonem, że nie przepuszczono żadnemu słudze zgubienia jednego zęba od brony albo kawałka rzemienia, że assekurowano wszystko od ognia i gradu i t. d. zgoła że każdą dowolność ujęto w normy i kluby. Stanisław krzywem na to spoglądał okiem i nazywał już skąpstwem, już pedantyzmem, w skutek którego człowiek zamienia się w machinę i mając wrodzony popęd do jak największej wolności, sam się uprzęga w niewolę. Przeciwnie zaś kapitanowi niepodobało się bardzo, że bydło tak srodze karmiono, że ludziom tak tłusto jeść gotowano, że tak punktualnie wypłacano robotnikom, że nie przyjmowano nic z łaski a za wszystko płacono, że nie wolno było nikomu wytatarować skóry, i t. d. co wszystko znowu nazywał marnotrawstwem, niemieczczyzną i także dobrowolną niewolą. Lecz kiedy Wapnowski przekonał się z czasem, iż waga i miara ubezpiecza od braku, surowe przestrzeganie obowiązków służbowych uczy sługi pilności, dzwon głośny w domu przymnaża czasu i pracy, assekuracya daje swobodny umysł i spokojny sen w nocy: że zatem w ogólności przez nie zbyt uciążliwe ujewolenie ciała osięga się wielką swobodę dla myśli i ducha; i kiedy kapitan przekonał się również, że dobrze żywionego bydła i ludzi nie trzeba za włosy wyciągać z obory i batem namawiać do pracy, bo sami chętnie i w dwójnasób pracują, że punktualna wypłata robotnikowi czyni go chętnym i usłużnym na zawołanie, że każda robota z łaski nie wiele warta a tatarowanie skóry można daleko skuteczniej zastąpić pilnym dozorem i kiedy oprócz tego i on sam zaczął za swoją pracę otrzymywać zapłatę, której przez lat dwadzieścia i kilka u Wapnowskiego nigdy

*

nie widział: — to obadwa uznali nareszcie, że rozum daleko więcej wart od rutyny, a zimna lecz niezwalczona wytrwałość daleko więcej od najgorętszej fantazyi, i zastosowali się we wszystkiem do woli Dobiesława.

Ztąd jego dom cały, opierający się na wzajemnej miłości, na wzajemnem poszanowaniu zdolności i zasług, na dźwięcznej nareszcie zgodzie serc i umysłów, był silnym wewnątrz a przez to samo zdobywał sobie coraz większą powagę na zewnątrz. Ztąd była także ta cała rodzina szczęśliwą. Pracowali tam wszyscy ciężko i żmudnie, oszczędzali się skrupulatnie, musieli sobie nawet wielu potrzebnych rzeczy odmawiać: *ale łączący ich razem cel ważny, cel osiągnienia kiedyś niezawisłości zupełnej, utrzymywał ich szlachetne i zacne umysły przy tej sile i rezygnacyi, przy której, dalecy od wszelkich kłótni i sporów, enerwujących zwykle tylko organizm wewnętrzny a nie popychających sprawy powszechnej naprzód, potrafili znieść ciężką pracę, podnieść się nad dotkliwość braków i niedostatków, a nawet wyrobić w sobie nieocenioną w takich okolicznościach zdolność do wzajemnych poświęceń.*

Mocą takiej zacności i zgody rosło ich szczęście domowe — i rosły ich siły i dostatki. W trzecim roku zrobiło to wszystko już znaczne postępy. Pan Bóg dał Dobiesławom dwoje dziateczek, trza było domek rozszerzyć, sług trochę przymnożyć i kuchnię powiększyć — i stało się to wszystko bez najmniejszej dla Dobiesławowej kieszeni trudności. Owszem, popuścił on nawet sam cugle swoim wydatkom i wiele sobie rzeczy pozwolił, których musiał sobie dotychczas odmawiać. Tak kiedy dotąd obchodzono się u niego o trzech tylko dziennikach, dwóch polskich a jednym francuzkim, a kupowano tylko po kilkanaście książek corocznie; w tym roku leżało już sześć dzienników na stole Klotyldy i wolno jej było całą półkę zastawić nowo zakupionemi książkami. Poczyniono również niektóre upiększenia około pałacu, zrestaurowano część zniszczonego angielskiego ogrodu, założono piękny ogródek kwiatowy, Klotylda miała już parę ładnych koni do swego powozu, jej ojciec otrzymał w darze wierzchowca, i dwa charty wyborne — Dobiesław mógł wreszcie rozpocząć założenie nowego sadu, plantacye lip i pasieki podług metody Lubienieckiego. I było przytem szczęścia i pociechy niezmiernie wiele: bo Dobiesław już był pewnym, że wybrnie z długów pomału, miał już dochodów daleko więcej niżeli wydatków, dochody jego się ciągle zwiększały, i było rzeczą niezawodną, że się tak będą powiększać i dalej. Jakoż szczęśliwy nad miarę, miał jeszcze tylko jedno życzenie — a mianowicie to, aby mógł bez uszczerbku w swoim budżecie zawieść swą ukochaną Klotyldę choć na cztery tygodnie do Francyi. On tyle lat tam przepędził, tyle tam przetrwał pracy i nędzy, powodzenia i szczęścia, tyle razy jej opisywał te kraje, te miejsca, tych ludzi, — ona go zawsze z taką uwagą słuchała, tak serdecznie te jego wspomnienia ukochała, tak drżała na to, ażeby mogła to wszystko własnemi obaczyć oczyma: — ach! jakże-by on był szczęśliwym, gdyby ją mógł tam zawieść, wszędzie ją sam oprowadzić i wszystko to jej pokazać! — Wszakże przy takiej wytrwałości i pracy nic nie jest niepodonem — a przy takiej zgodzie serc i umysłów każdego dosięga się celu. To też pod koniec czwartego roku, jednego szczęśliwego wieczora, przy zwykłej przy herbacie rozmowie, ujął Dobiesław swą żonę za rękę i zawiadomił ją i jej ojca: że cały tegoroczny zbiór rzepaku i pszenicy może być wymazanym z jego budżetu, a jeżeli tylko te obadwa produkty będą stać po czterdzieście złotych na targu krakowskim, to ich oboje w tym roku z pewnością do Paryża zawiezie.

Westchnęła na to zgłębi serca Klotylda, — westchnął także jej ojciec. Ach! on tak dawno już nie był w Paryżu! i w swem ubóstwie przestał już nawet marzyć o tem, ażeby tam jeszcze mógł kiedy być w swojem życiu. Ale westchnąwszy, uśmiechnął się przytem, a odjąwszy lulkę od ust, rzekł do Dobiesława:

— Życzę ci, ażeby pszenica i rzepak były po ośmdziesiąt złotych; ale przecież tak mi się zdaje, iż podobno pierwej ja was oboje do Paryża zawiozę, niżeli ty się na to zdobędziesz.

— W takim razie, — odpowiedział na to Dobiesław, — cieszyć się będziem w dwójnasób, bo wtedy nasze pieniądze obrócimy na tysiące najrozmaitszych sprawunków.

— I tego wam nie pozwolę, — zakończył Wapnowski, — bo jeżeli ja was do Paryża zawiozę, to wtedy wszystko co tam wydamy pójdzie na mój rachunek. Czyż wy już od tylu lat nie płacicie wszystkiego za mnie? Przecież się godzi, żebym ja choć raz za was zapłacił.

Na tem się skończyła ta pobieżna rozmowa, która wyglądała niby na żart, ale nim wcale nie była. Wapnowski bowiem, jak o tem na swojem miejscu wspomniano, miał jeszcze do żądania całą indemnizacyę z Starodziek. Starodzięki poszły w zupełności na długi, ale indemnizacya została. Nie przyznano mu jej swojego czasu, jak każdemu takiemu, który pańszczyznę dokumentnie darował; ale jak wszyscy inni tak i on starał się wszelkiemi drogami o jej przyznanie. Jeździł w tej sprawie kilkakrotnie do Wiednia i zawsze przyjeżdżał z nadzieją; lecz teraz miał już więcej niżeli nadzieję, bo miał pewną obietnicę, że mu cała indemnizacya ze wszystkiemi zaległościami zaliczek i prowizyi wypłaconą zostanie. Jakoż istotnie w kilka dni potem wyjechał do Wiednia, Krakowa i Lwowa, i bawił blisko trzech miesięcy w tej drodze; lecz kiedy wrócił, przywiózł ze sobą sto czterdzieści i kilka tysięcy guldenów w papierach.

Wielki tryumf, wielkie szczęście i niewysłowiona uciecha! — choć u każdego z innych powodów. I tak Wapnowski cieszył się przedewszystkiem dlatego, że odtąd nie będzie już Dobiesławowi ciężarem, a za doznane od niego usługi będzie mu się mógł dobrze

wypłacić. Klotylda cieszyła się dlatego, iż doświadczywszy od męża tyle miłości, troskliwości i poświęcenia, będzie mu mogła wnieść jakiś posag, że go choć w części uwolni od tak ciężkiej pracy, że będzie mogła swe dzieci wychowywać starannie i zostawić im jakąś fortunę po sobie. Kapitan cieszył się także, ale dlatego, że przecież Polak choć raz udarł Niemców potężnie. A Dobiesław tylko bardzo pomiernie się cieszył; owszem, jego uciecha mieszała się z pewnym rodzajem trwogi. Trwoga ta mianowicie pochodziła ztąd, iż mu się pomimowoli nasuwała myśl, że Stanisław powróci teraz do dawnych swoich narowów i zacznie tracić. Nie chodziło mu przytem o pieniądze; ale on ich już teraz wcale nie potrzebował: owszem, był-by był daleko szczęśliwszym, gdyby Klotylda miała wszystko li tylko jemu do zawdzięczania. Tak się tem cieszył, że ją uszczęśliwił; jakże-by był szczęśliwym, gdyby był mógł to szczęście zachować do końca! Jemu tedy chodziło o to, że Wapnowski, począwszy żyć teraz inaczej, cały dom mu wywróci, wszystko odmieni i zburzy a jego spokój tak ulubiony wypędzi z jego domu na zawsze. Ale było to mylne mniemanie. Przynosiła je z sobą jego demokracya, której się jeszcze zawsze marzą dawne narowy szlachty, kiedy tymczasem ta szlachta od lat kilkunastu już ani śni o narowach — *a dziś raczej grzeszy zbytkiem oględności, mylnie nazwanej rozsądkiem, niżeli zbytkiem fantazyi, jeszcze daleko mylniej potępionej powszechnie.* Tak też sobie postąpił Wapnowski. Chociaż miał tak wiele pieniędzy, zaraz powrócił do domu a już nazajutrz odliczył Dobiesławowi ośmdziesiąt tysięcy i rzekł:

— Jest was dwoje a ja tylko jeden, więc wam daję większą połowę i powierzam ją tobie, bo jestem aż nadto pewnym, że jej użyjesz rozumnie. Dałbym wam wszystko, ale dopóki żyję chciałbym mieć przecież coś swego, ażebym wam, od których tyle odebrałem usług i poświęceń, mógł czasem sprawić choć jakąś przyjemność. Bądźcie wszakże pewni, że i część tego nie stracę, bo ja już teraz dla siebie potrzebuję bardzo niewiele.

Bardzo się wszyscy rozczulili tą prostą przemową; wszakże to rozczulenie podniosło się jeszcze daleko wyżej, kiedy Wapnowski obróciwszy się do kapitana i wetknąwszy mu także jakiś pakiecik, objął go w swoje ramiona i rzekł do niego ze łzami:

— Mój Mateuszu! wiem ja to dobrze, że taka przyjaźń jak twoja nie jest do opłacenia pieniądzmi. Tyś mi przez lat trzydzieści służył jak matka swojemu dziecku — a jam cię za to karmił głodem i nędzą. Tyś nie spał i nie jadł, tyś chodził w łachmanach, tyś pracował jak ostatni wyrobnik, ażebyśmy mieli herbatę i świece woskowe. Oh! ja wiem wszystko! Takiego człowieka nie opłacić górami złota. Ale weź to odemnie, nie za nagrodę, lecz na pamiątkę....

Reszty nie mógł domówić — a tymczasem Mateusz beczał jak dziecko. I wydarłszy się z jego objęcia, mówił do niego przez łzy:

— Ale fe! fe panie Stanisławie! co też ty pleciesz! Tyś mnie nagiego, tułacza, niedołęgę, kalekę, wziął w dom swój i gościł jak brata! Mnie było u ciebie jak w raju. Anim ja sobie na to u Boga, ani też u was zasłużył! Ot! co też pleciesz! — Potem zaś cisnąc ów pakiecik w swych ręku, dodał spokojnie: — A to co? i to niepotrzebne! Oddałbym ci zaraz — i chyba weź! na co mi tego!

— Oh! już co to, to napróżno.

— No! to niechże zostanie, — odpowiedział Mateusz. Pójdzie to i tak do jednej skrzyni po mojej śmierci....

Głuche potem zapanowało milczenie, bo więcej było rozrzewnienia w tej chwili niżeli radości. Ale tymczasem Mateusz zaraz zasiadł pompatycznie za stołem, wdział okulary i zaczął rozkładać otrzymane pieniądze. Nie były to listy zastawne, tylko same banknoty — i było ich kilka tysięcy. Z dziwnem zajęciem rozkładał je staruszek na stole i układał w trzy kupki, choć były to same setki. Wszyscy na niego patrzyli z ciekawością. A on tylko kiwał głową i mówił do siebie:

— Jest tego porządna porcya... Właśnie tyle, ile mi trzeba....

— Dlaczegóż to tak rozkładasz? — spytał z uśmiechem Wapnowski.

— Hm! — rzekł Mateusz.

— No, to ja ci powiem, — podjął Wapnowski i wskazując na kupki, dodał, — to się zmieni na dukaty....

— A zgadłeś! — zawołał kapitan, podnosząc ku niemu głowę tak nagle, że aż pokrzywione okulary spadły mu z nosa.

— A to na talary....

— A zgadłeś! a to?

— Za to się kupi czamara, bielizna...

— O! nie głupim! Tem, — rzekł pompatycznie Mateusz, powstając z miejsca, — pokaże się wam coś.... ale to sekret. Bo i ja też wiem sobie, jak można użyć pieniędzy, nietylko Dobiesław. Dawno już o tem marzyłem, ale nie było *de quibus*.... Teraz ja wam pokażę.

Wszyscy byli niezmiernie ciekawi, co też on zrobi. Tymczasem Mateusz nie zrobił nic. Bo w samej rzeczy z tych pieniędzy kupił sobie tylko nowe okulary i kazał sobie uszyć dwie pary bótów, wytargawszy przy ich robocie szewcowi po staremu połowę czupryny. Zresztą chyba tylko ta jedna widoczna zaszła w nim miana, że odtąd częściej przychodził we fraku do herbaty, skarżył się częściej na szlachtę sąsiednią, że go nie estymuje i nazywał ich hołyszami, grywał z wikarym maryasza po trzy grosze, co była rzecz stara, ale to była rzecz całkiem nowa, iż kiedy przegrał, to płacił. Dopiero później wydało się, co robił Mateusz. Oto pożyczał pieniądze żydom na zastawy a chłopom bez zastawu, ale darł ich ze skóry.... Podszedł go w tem kilka razy Dobiesław i rostrząsł sumienie, przedstawiając wymownie, że lichwa to rzecz

bardzo niezacna i niehonorowa. Ale nigdy go nie mógł zrozumieć Mateusz, owszem burzył się przeciw niemu, wołając:

— Ot co mi waść gadasz! przecież ja ludziom uczciwym nie pożyczam. A jeźliż już ani żyda ani też chłopa obedrzeć nie można, to kogoż drzeć będę? he? —

— Ależ nikogo! rzekł śmiejąc się Dobiesław.

— A ba! na całym świecie drze jeden drugiego ze skóry a ja będę siedział z załamanemi rękami! Co mi tam waść pleciesz! —

I nie było na to żadnego ratunku...

Tak użył swoich pieniędzy Mateusz. Całkiem inaczej postąpił sobie Wapnowski. On, który nigdy przez całe życie nie myślał o robieniu pieniędzy, i teraz o tem nie myślał, lubo miał środki i sposobność po temu; lecz chociaż przez całe życie, jednakże teraz, przebywszy tak wiele i tak cierpliwych doświadczeń, także i tracić nie myślał. Jakoż istotnie prócz tego, co go kosztowała dwumiesięczna podróż do Francyi ze swoją rodziną, nic prawie nie wydał. Kupił sobie parę koni wierzchowych, kilka klaczy angielskich, kilka sfór psów, wziął od Dobiesława jeden folwarczek w dzierżawę, ażeby miał jakieś zajęcie; lecz zresztą niczego nie zmienił. Zawsze mieszkał przy swoich dzieciach, zawsze ich kochał, zawsze Dobiesławowi w gospodarstwie pomagał; tak było dobrze przez kilka lat — i na cóż to zmieniać? —

Jeszcze inaczej użył swoich pieniędzy Dobiesław. On był ojcem rodziny, o której przyszłość powinien się był troszczyć ze wszystkich sił swoich; on miał zawód dla siebie obrany, był silnym i młodym, praca była jego obowiązkiem: a kiedyż pracować, kiedyż fortuny przymnażać, jeżeli nie wtenczas, kiedy się jest młodym, kiedy dzieci jeszcze są małe i kiedy się ma tak mało wydatków? — Jakoż przedwszystkiem rozszerzył on zakres swej pracy. Poodbierał wszystkie folwarki z dzierżawy, objął gorzelnię na siebie, puścił browar na własną rękę, młyn wielki wystawił, inaczej pourządzał tartaki. Jakoż wtedy gospodarstwo jego całkiem inną przybrało postać i inne rozmiary. Mogąc się rozeprzeć na tysiącu morgów ornego pola, mając dwa tysiące częścią jeszcze istniejącego a częścią wyniszczonego lasu, mając znaczne fabryki własne a do tego odpowiednie fundusze, mógł teraz wiele rzeczy przedsięwziąć takich, o których dotychczas wolno mu było tylko czasem zamarzyć. Tak przedewszystkiem pomnożył i znacznie poprawił swoją owczarnię, — zaprowadził chów bydła na większą skalę i czynił z niem doświadczenia dokładne i umiejętne, — urządził kilka machin gospodarskich w sposoby tutaj nieznane, — wziął się do fabrykacyi sztucznych nawozów na większe niż dotąd rozmiary, — poirrygował łąki stare a zabrał się do zakładania łąk sztucznych, — rozszerzył swoją szkółkę nasion pastewnych, ogród owocowy i pasiekę, — zabrał się wreszcie do zmiany gruntownej w lasach a rudując te, które mogły być zamienione w orne pola, zasiewając zaś inne, stał się jednym z pierwszych, którzy o tej ważnej gałęzi gruntownie myśleć zaczęli. Prowadząc jednak z energią i wytrwałością tak trudne i wielostronne prace do swego celu, t. j. do pomnożenia korzyści z ziemi, był stale wiernym dwóm ważnym myślom, które sobie wytknął razem z tym celem, a z których mianowicie pierwszą była ta, ażeby we wszystkich doświadczeniach postępować jaknajostrożniej i żadnego nakładu nie wystawiać na hazard, a drugą ta, ażeby panując dla pożytku swego, służyć zarazem ku pożytkowi pospolitego dobra. Jakoż istotnie niezmiernie on wiele przyniósł korzyści tak swoim uboższym, jak i bogatszym sąsiadom, i był w tem niespracowanym. Nauczył swoich niegdyś poddanych umiejętniej uprawiać rolę, popoprawiał ich gospodarskie narzędzia, pozapomagał ich w lepsze nasiona, porozszerzał pomiędzy nich lepszą rasę bydła i koni. Znalazłszy pomiędzy nimi kilkunastu skłonniejszych do przyjmowania wszelkich ulepszeń, popoprawiał im domy z kominami, z piecami oszczędzającemi paliwo, pozakładał im sady, pourządzał ogrody. Opiekując się zaś od samego początku ich szkołą, założył dla ich dzieci u siebie szkółkę rolniczą, sposobiąc je na dobrych parobków, karbowników i ekonomów.

Również uczynnym był i dla swoich bogatszych sąsiadów. Niemasz może kraju w całej Europie, w którym-by wszelkie innowacye na tak twardy trafiały opór, jak u nas. Nie pochodzi to z gruntownej przeciwko wszelkiemu postępowi niechęci, ani z nierozwiniętej jeszcze do pożądanego stopnia oświaty, ani, jak chcą niektórzy, z wrodzonego słowiańskiej naturze lenistwa; ale raczej ze zniechęcenia, wynikającego z towarzyszących naszemu życiu okoliczności. Zdaje się, jakoby w każdem sercu odżywała jakaś odziedziczona tęsknota, która mówi: Dopóki tęsknę, nie chcę niczego!...

Nie chcę niczego! dajcie mi cierpieć w spokoju! — Tak to jest — i tu leży powód naszej ociężałości. — Cóżkolwiekbądź, na każdego co jakiekolwiek nowości ze sobą przynosi, cały świat patrzy zézem. Bodaj nawet, czy niemasz takich, którzy mu życzą w skrytości, aby kark skręcił czemprędzej i nie robił nieprzyjemnego dla nich hałasu.... Otóż tak także patrzano zrazu na Dobiesława. Nie wierzono w skuteczność jego gospodarstwa z sztucznemi nawozami i pastwiskami, stawiano na równi rozum pruski i rozum francuski, a Bóg go strzegł, że go nie spotkało jakie nieszczęście, bo był-by mu pewnie, tak jak Prusakom, zawtórzył śmiech homeryczny.... Ale kiedy pierwsze lata prób i doświadczeń szczęśliwie minęły a Dobiesław nie ginął' lecz owszem podnosił się w dobrym bycie, zaczęła się zwracać na niego coraz przychylniejsza uwaga. A kiedy wreszcie urządził kilka machin nadzwyczaj prostych a bardzo praktycznych, kiedy jego wełna z owiec na sztucznych utrzymywanych pastwiskach stanęła wysoko w cenie, kiedy barany z jego owczarni a wołki z jego obory zaczęły się rozchodzić po świecie, kiedy za jego zboże zaczęto płacić o kilka złotych więcej na korcu:

to niedowierzanie całkiem ustało a sąsiedzi zaczęli gęsto przyjeżdżać do niego, przypatrując się jego gospodarstwu, wypytując o wszystko i ucząc. Zaczęły się też po kolei odzywać wymagania do niego: ten potrzebował zboża na nasienie, inny zażądał nasion pastewnych, trzeci go prosił o pomoc w urządzeniu młyna, czwarty zasięgnął jego zdania co do sposobu osuszenia gruntów i łąk, piąty zapragnął jego rady w administracyi całego majątku. A kiedy Dobiesław nietylko nie wymówił się nikomu, lecz owszem sprzedanym produktom naznaczał ceny skromne i słuszne a jaką radę dał, tak zawsze się okazała skuteczną; natenczas, jak to się u nas dzieje najczęściej, dawne niedowierzanie zamieniło się w ślepą wiarę, obojętność w miłość serdeczną a niechęć w powszechny u sąsiadów szacunek. Toż postępując tak dalej, wzmagał się coraz więcej w miłości, wzrastał w szacunku, i stał się wreszcie powszechnie uznaną powagą dla swojego sąsiedztwa. Od roku już cała okolica się ogląda na niego, jego głos jest przeważnym, jego zdanie prawie stanowczem dla wszystkich: w razie potrzeby potrafiłby porwać całe swoje sąsiedztwo i poprowadzić wedle swej woli....

Ze zmianą swoich stosunków majątkowych, zmienił on także urządzenie swojego domu i domowego budżetu. Był on zawsze oszczędnym, zawsze się bardzo ściśle z każdym groszem rachował, zawsze rachunki swoje utrzymywał w pedantycznym porządku; ale już teraz nie potrzebował się tak bardzo oszczędzać jak dawniej, bo na innych stał nogach i inne miał teraz dochody. Jakoż teraz już jego pałac był wyrestaurowany i odnowiony w całości, i były w nim sprzęty wykwintne; już teraz cały park był utrzymywany w porządku, odnowiona oranżerya ojcowska i brzoskwiniarnia. Już się znalazły u niego konie powozowe i znalazł się konik wierzchowy; już było w domu kilkanaście dzienników, już były wszystkie książki co lepsze i były częstsze relacye ze światem. Już się tam kilkakrotnie co roku powtarzały proszone obiady i herbaty, już był gość częstszy ze stron oddalonych, już się to wreszcie zrobił dom taki, w którym się gromadziły wszystkie nowiny z całego świata, w którym muzyka i literatura, sprawy obywatelskie i polityczne, miały stałą gospodę dla siebie, a w którym przy nowożytnym polorze każdego głównie chwytały za serce nasza starożytna gościnność i polskość. I przypomniały się całemu sąsiedztwu świetne niegdyś czasy Grodowisk za życia ś. p. Seweryna i Klaudyi — i przypominały się zarazem świetne czasy Starodziek za życia matki Klotyldy. A przypominały się te czasy może głównie dlatego, że jak tu niegdyś Klaudya a tam matka Klotyldy, tak teraz tutaj tak samo niewypowiedzianej słodyczy i wdzięku dodawała swojemu salonowi Klotylda. Artystka tak znakomita na fortepianie jak ś. p. Klaudya a tak samo uprzejma, grzeczna, serdeczna, jak jej nieboszczka matka, umiała ona nietylko tak samo przyjmować gości, tak ich zająć i ująć i przywiązywać do swego domu, jak obydwie kobiety tamte, ale także samo jak tamta umiała zachować siebie na zawsze w tym poważnym, pół-świątobliwym uroku, który się tylko wyższością umysłu i znamienitemi cnotami osięga, a który się prawie wyłącznie tylko u naszych polskich spotyka niewiast. Takie zdanie miano powszechnie o Klotyldzie — i dlatego jej salon przypomniał tak żywo salony jej matki i Klaudyi. Jednakże ci, którzy tamte czasy zapamiętali, przyznawali również powszechnie domowi Dobiesława znaczną wyższość nad obudwoma tamtemi. Na pierwszy rzut oka było widać postęp ogromny. Postęp ten zaś leżał w ogóle w tem, iż kiedy tam można się było tylko przyjemnie rozerwać, tu można się było tak samo rozerwać, ale także i czegoś nauczyć. Tam bowiem była przedewszystkiem tylko zamożność wynikająca z intratnego z natury majątku — a tu były dostatki, wynikające z zapobiegliwości i pracy. Tam mieszkali panowie, którzy spożywali szczęśliwie swoje dochody — a tu mieszkał rolnik z zawodu, który swoje wydatki zastosowywał ściśle do swoich ciężko zapracowanych dochodów. Tam wreszcie spotykało się tylko pęk wiadomości może błyszczących lecz luźnych, — a tutaj spotykało się gruntowną naukę. To też z tamtejszych odwiedzin wywoził każdy tylko przyjemne wspomnienia — a ztąd przykłady pouczające, przekonania dowodne o potrzebie nauki i pracy, a często nawet pomysły takie, które się stawały przedmiotem zajęcia na czas dłuższy, czasem na całe życie. Dobiesław bowiem zrozumiał gruntownie swe powołanie — i służył swoim sąsiadom nietylko w gospodarskim i kuchennym zawodzie, ale starał się także o to, ażeby dom jego był wzorem cnót domowych, rodzinnych i obywatelskich. Starał się mianowicie o to, ażeby dom jego opierał się głównie na miłości, jedności i zgodzie, — ażeby ta miłość, jedność i zgoda była dla wszystkich widoczną, — ażeby było widocznem, iż tylko te cnoty jego rodziny dopomogły mu do tego, że się ze swego niebezpiecznego położenia wydobył — i ażeby się wreszcie wzór tych wysokich i niezbędnych cnót dla nas rozchodził pomiędzy jego sąsiadów. I takim w samej istocie był jego dom — i głównie dlatego stał się przedmiotem tak powszechnego szacunku.

* * *

Słysząc wspomnienie o jedności i zgodzie, o której w tej chwili tak głośne wiodą się rozhowory, powie może niejeden: — Jeżeli tam była taka jedność i zgoda, to tam nie było żadnego życia, bo głównym warunkiem życia jest ruch i tarcie się przeciwnych sobie żywiołów, a jedność i zgoda, to martwota, to śmierć. — Drugi zaś może zgoła zapyta: — Jakto? trzech było Polaków pod jednym dachem i była jedność i zgoda? Ja temu nie wierzę. —

I ja temu nie wierzę — i jak nie powiadam, ażeby, że tu użyję trafnych słów Mochnackiego, »rozniesienie się mniemań« nie było koniecznym warunkiem »życia«, — tak nie powiadam także, że w domu Dobiesława była tak szczelna jedność i zgoda,

jaka sprowadza za sobą martwotę. Owszem przeciwnie, każdy to mógł już od dawna uważać, iż pomiędzy tymi trzema mężami zachodziła bardzo wielka różnica w opiniach.

I tak Wapnowski był arystokrata na wskróś. Urodzony w domu starożytnym szlacheckim, był on od dziecka przejęty temi zasadami, jakie za zwyczaj w takich rodzinach chowają się tradycyjnie z wieku na wiek i które nawet w części są ich duchem ożywczem. Ztąd nie pochwalał on żadnego innego rządu jak monarchiczny, — nie pojmował narodu bez szlachty, — nie był na żaden sposób w stanie uczuć się równym człowiekowi takiemu, który-by nie był szlachcicem herbowym. Jako człowiek oświecony pojmował wszystkie nowe nabytki ludzkiego ducha, a więc pojmował i postęp; lecz pragnął, ażeby każdy postęp rozwijał się tylko na zasadach czysto-narodowych i tradycyonalnych. Jak n. p. dopuszczał on ciałobrania idei demokratycznych, ale tylko w ten sposób, ażeby się lud podniósł do szlachty i ażeby się z czasem, że tu znowu użyję słów Mochnackiego, „cała Polska wybrukowała herbami;“ tak także dopuszczał on wszelkich możliwych swobód i wolności, lecz pragnął, ażeby te swobody się rozwijały, dziś bez uszczerbku dla historycznej starszyzny narodu, a kiedyś pod opieką tejże starszyzny i tronu. Nawet w towarzyskiem pożyciu i wszelkich stosunkach z ludźmi trzymał się ściśle tych samych zasad. Obchodził się dobrze z ludem, był z całego serca za jego usamowolnieniem zupełnem i dał tego dobitne w roku czterdziestym szóstym dowody, był za podnoszeniem jego oświaty i szczerze dopomagał ku temu; żył przytem chętnie z każdym człowiekiem, który się z ludu wydobył a odznaczył się wyższą oświatą, osobistą zacnością i miłością ojczyzny, kochał nawet tych ludzi, cenił czasem wysoko i otaczał szacunkiem: lecz przy tem wszystkiem nie mógł nigdy zapomnieć, iż on sam jest także zacnym i oświeconym i kochającym ojczyznę — a nadto wszystko jest jeszcze szlachcicem, chowającym w sobie narodowego ducha, przejętego wprost z dziejów, i dziedziczącym rodzinnie wiekowe zasługi i chwałę narodu. Takim był Wapnowski.

Dobiesław był mu w zasadach tak społecznych jak politycznych diametralnie przeciwnym. Był on demokratą, jak to mówią, *de puro grano*. Jakakolwiek różnica pomiędzy ludźmi co do ich społecznego stanowiska i praw na tej ziemi, — a! ba! ani mu było o tem wspominać. On pod tym względem trzymał się ściśle tego, czego nas uczy anatomia: jeden człowiek jest jako drugi. Na takiej oparty zasadzie, iż co do wolności i swobód to pragnął ich jak najobszerniejszych — a co do formy rządu, republiki. A tymczasem, nim się to stanie, to wieczna i nieustająca opozycya przeciw wszystkiemu, co temu stoi na drodze! I wieczna opozycya jeszcze i potem, dopóki jeszcze jakibądź płatek, jakibądź strzępel starego świata będzie zawadzał na ziemi! — Takie były jego zasady. — Ale co innego jest mieć jakieś zasady — a co innego wprowadzać je w życie. Otóż co do wprowadzania tych zasad w życie dopuszczał on pewnych modyfikacyi. Powiedziałem już wyżej, że nie był on ani idealistą, ani materialistą, ale był człowiekiem realnym w najściślejszem znaczeniu. Więc jako człowiek realny wiedział on przedewszyztkiem o tem, iż jeszcze żadne społeczeństwo ludzkie od stworzenia świata do dzisiaj nie dało się zmienić w podstawach swojego bytu gwałtownie i nagle, — i wiedział dalej, iż na to, aby się społeczeństwo takie, w których tak radykalne zasady zaledwie się zaczęły zasiewać, całkowicie niemi przejęło i wedle nich urządziło więź swoją społeczną, trzeba bardzo długiego przeciągu lat, trza może wieków, — i wiedział wreszcie, że tak człowiek jak pokolenie tylko natenczas swojego przedsięwzięcia dokona, jeżeli go zastosuje do sił swoich własnych i oznaczonej z natury rzeczy ważności w czasie, a jeźli się zerwie na przedsięwzięcie, którego mogą tylko dokonać wieki, to nic nie zrobi i samo pod jego ciężarem ulegnie. Już tedy dlatego samego, lubo nie widział jeszcze potrzeby zmieniania swoich pragnień w zasadzie, jednak widział konieczną potrzebę modyfikowania ich znacznie przy wprowadzaniu ich w życie. Tę potrzebę modyfikacyi wpoił weń jego zdrowy rozsądek, wyćwiczony na dokładnej nauce historyi i filozofii. Wszakże do jeszcze daleko znaczniejszych modyfikacyi skłoniło go jego zdrowe oko, patrzące na naród ten, w którym miał zastosowywać swoje zasady, i tego narodu położenie obecne. Badając ten naród, jego więź społeczną dzisiejszą, jego stopień oświaty, jego stosunki zewnętrzne a głównie te podstawy wewnętrzne, na których się dzisiaj jego żywioł rodzimy opiera i na których się jeszcze długo będzie musiał opierać w przyszłości, przyszedł nawet do przekonania: iż tutaj jego zasady społeczne stają częstokroć w sprzeczności z rzeczą daleko od siebie ważniejszą, bo z głównemi warunkami narodowego bytu na teraz a politycznego w przyszłości. I tak n. p. wedle jego teoryi należało-by pielęgnowanie ducha i spraw narodowych wyrwać z rąk ludzi tych, którzy się tem zajmowali dotychczas a którzy mają za mało ognia i zapału dla pojęć nowszych, i należało-by ich całkiem odsunąć na stronę i zastąpić innymi — a tu tymczasem właśnie tych ludzi odsuwać nie można, bo oni są jeszcze zawsze głównem narodowego ducha objęciem, jego wyrazem i siłą, a niemasz kto-by ich godnie zastąpił. Wedle jego teoryi należało-by wszystkie dotychczasowe powagi obalić, zmiąć i pogrzebać, bo się zużyły, ociężały, odpoczywają w spokoju i martwy spokój rozszerzają około siebie — a to tymczasem właśnie tych powag obalać nie można, choćby tylko dlatego, iż są skarbnicami naszych duchowych prac i zasobów, ściągają przez siebie ku nam poszanowanie u obcych i są naszą chwałą, naszym zaszczytem, naszą reprezentacyą na zewnątrz... Tak rozumując, czuł on się zniewolonym do bardzo wielu modyfikacyi swoich teoryi na dzisiaj. Ale pomimo to zasad swoich w gruncie się nie zapierał — i był za-

wsze z całego serca za nieustającą pracą, za postępem, za ruchem! — o ile można, bez strat i ofiar, — ale choćby nawet z stratami i ofiarami! byle nie kisnąć, nie martwieć, nie gnić w bezczynie, a iść wciąż naprzód, naprzód i naprzód bez końca! —

Czemże był wreszcie nasz ukochany Mateusz?— Jego charakter publiczny bardzo trudno określić, chociaż ludzi usposobionych tak samo jest u nas bardzo wiele. Ale próbujmy. Otóż na pierwszy pozór zdawał on się być niczem, bo niemiał żadnych zasad wyrobionych do tego stopnia, ażeby się dały zamienić w teorye. On miał tylko wspomnienia, uczucia, sympatye i antypatye, które w rozmaitych okolicznościach ku rozmaitym pociągały go zdaniom. Ztąd nie był ani arystokratą ani demokratą, czyli raczej był jednym i drugim: demokratą względem wyższych od siebie a arystokratą względem niższych. Jego demokracya objawiała się głównie przez to, że panów nie cierpiał, ale objawiała się na tej drodze bardzo dobitnie. Śpiewał on zawsze jakąś starą piosnkę z czasów Targowicy i Sejmów Grodzieńskich, — zapomniał zupełnie, że od tego czasu minął wiek cały, — a natomiast czytywał najchciwiej te wszystkie xiążeczki, gdzie pijany rozpaczą duch społeczeństwa, zamiast pracować rzetelnie około pospolitego dobra, pieni się nienawiścią przeciwko rodzonej braci. I kiedy mówił o tem, to mówił seryo, — dnie takie, jak 10 maja i 15 sierpnia 1831, czcił jako święta, — a myśląc o Polsce, wzdychał do nich najpobożniejszem westchnieniem. Piekielne wrzaski miejskiego ludu, topory i noże, tłumne wyroki i szubienice, — były to nieodbite dodatki do jego snów rajskich o najszczęśliwszej przyszłości.... Wszakże trza mu to przyznać, iż jeżeli w tych snach było więcej historycznego wspomnienia, niżeli zasady na przyszłość, to było w nich jeszcze coś więcej: bo on sam siebie w nich nigdy nie widział pomiędzy tłumem ulicznym, ani z toporem w ręku, ani też z nożem, — lecz po staremu, w mundurze pułków liniowych, na czele swojej kompanii, przypuszczał szturm do arsenału! Cóżkolwiekbądź, zawsze panów niecierpiał — i nawet bardzo niewiele trza było na to, ażeby u niego być panem. — Wszakże za to tak samo nieubłaganym arystokratą był względem niższych od siebie. Nigdy nie mógł zrozumieć tego, na co-by było potrzebnem oświecać lud, kiedy chłop wedle niego miał i tak rozumu aż nadto; siedział zawsze jak na niemieckiem kazaniu, kiedy debatowano o podniesieniu miast, rzemiosł, przemysłu i handlu — a co nieraz mówił o chłopach-mudiach, o mieszczanach-kołtunach, o ekonomczukach i popowiczach, tego nie trzeba powtarzać. Ale i tutaj należy mu przyznać, że kiedy mu jakiś mieszczanin, chłop albo rzemieślniczek wędrowny, choćby był odarty jak Łazarz i nędzny jak Job, wspomniał o Polsce: to mu łzy w oczach stawały, podawał mu rękę braterską i na serdecznej gawędzie kilka godzin z nim trawił. A cóż dopiero, kiedy mu wpadł w rękę ktoś taki, który cierpiał za Polskę! Mateusz wtedy rozlewał się sercem jak powódź, pokorniał na duchu jak dziecko i gotów był ślady stóp jego całować.... Już tedy z tych kilku szczegółów nie trudno pojąć, iż zacny kapitanisko nie miał właściwie żadnych głębszych pojęć i żadnych zasad, tak pod względem społecznym jak politycznym. Tak jak rzeczy dziś stoją, chciałby był wszystko wywrócić do góry nogami i republikę zaprowadzić, — lecz gdyby otrzymał tylko cząsteczkę władzy w swe ręce, to był-by srogim despotą. Jednak z tych samych szczegółów widać także, iż na drodze widoków ogólnych miał on pewne pojęcia jasne i niezmienne. Nie widział ran szczegółowych, na które nasze społeczeństwo choruje; ale widział i czuł jedną ranę wielką i ogólną. Ranę tę pojmował on radykalnie — i radykalne też na nią podawał lekarstwo. Tego lekarstwa był gotów użyć każdego momentu, choćby dziś, i bez żadnego względu na skutki.... Była-to tedy głowa nieosobliwa, ale serce ogromne: materyał niezmiernie palny, garnący się zawsze tam gdzie goręcej i gotów zawsze do fajerwerku, choćby go puścić w swoją własną stodołę. Takim był Mateusz.

A kiedy mówimy o zasadach i przekonaniach, to nie pomińmy i tego, iż w Grodowiskach było jeszcze dwóch ludzi, którzy acz nie pod jednym mieszkali dachem, jednak duchem i sercem do tej samej należeli rodziny. Byli to obadwa xięża miejscowi. Znamy ich już cokolwiek i mamy już główne typy przed sobą, a więc ich charaktery publiczne kilkoma skreślimy słowami.

Więc tedy wikary, lubo w teoryach zgadzał się szczelnie z Dobiesławem, jednak nie zgadzał się na wszystkie przyjęte przez niego modyfikacye. Nie przeczył temu, iż naraz wszystkiego zrobić nie można, ale był zdania, że zawsze, im więcej się żąda, tem więcej się otrzymuje. Zaczem z teoryami Dobiesława łączył się raczej do fantazyi Mateusza i wyjąwszy jego przesądy, z nim najwięcej harmonizował.

Kanonik zaś trzymał najbliżej z Wapnowskim; ale były i między nimi znaczne różnice. I tak, kiedy Wapnowski, lubo był katolikiem niezmiernie ścisłym, stawiał na pierwszem miejscu interesa narodu a na drugiem dopiero interesa kościoła w narodzie; kanonik je ustawiał przeciwnie. I kiedy Wapnowski, nie przecząc wcale a nawet wierząc w skuteczność dyplomacyi, przecież nie pozbywał się wiary w szablę; Kanonik szablę uważał za *pessimum malum* i wszystkiego oczekiwał od zmiłowania Bożego, sprawiedliwości ziemskich mocarzy i dyplomacyi. I były pomiędzy nimi jeszcze i inne pomniejsze różnice, ale dosyć i na tych.

Owo więc, gdzie rodzina składała się z członków w zasadach i przekonaniach tak bardzo się między sobą różniących, rzecz oczywista, iż tam nie mogła mieć miejsca ta zgoda spokojna i niczem niezakłócona, która jest odrętwieniem i znakiem śmierci. Owszem przeciwnie, tarły się tam ze sobą bez odpoczynku opinie, odbywały się długie dyskussye, nie brakowało i sporów, — nie brakowało nawet i tego, że ci i

owi w szczególnych kwestyach łączyli się z sobą i uderzali na siebie w skupieniu, i znowu się rozłączali, i znów uderzali. O niejedną prawdę szczegółową wojowano ze sobą przez kilka tygodni, — po wyświeceniu innych odwoływano się do xiążek albo do ludzi specyalnie uczonych — a bardzo wiele z nich pozostało w zawieszeniu do dziś dnia, bo nikt się nie dał zwyciężyć....

Ale pomimo tych sporów, takich zawziętych i nieustających, była pomiędzy tymi ludźmi również nieustająca miłość i jedność i zgoda.

Była miłość, bo każdy szanował zasługi i zacność każdego z swych braci, nikt nie wojował bronią podstępną lub w jakibądź sposób niezacną, i nikt się tam nie zapomniał do tego stopnia, ażeby zapragnął swojemu zdaniu zapewnić zwycięztwo kosztem osobistości kogoś drugiego.

Była jedność, bo mimo tak znacznej różnicy zdań, wszyscy mieli przed sobą jeden i ten sam widok ogólny — i wszyscy mieli wzajemną ufność i wiarę, iż każdy z nich dąży wszelkiemi siłami do niego.

Była nareszcie zgoda, bo wszyscy zgadzali się na to, iż przedwszystkiem należy kochać, nie swoje własne zasady i przekonania, ale wspólną ojczyznę,— że w czasach spoczynku można się spierać o swoje zasady, lecz w każdej chwili ważniejszej każdy spór taki jest zbrodnią, — bo w takiej chwili należy poświęcić wszystkie partykularne zasady celom ogólnym a podawszy sobie wzajemnie ręce, iść razem, nie taką drogą, jaką sobie każdy w swej wyobraźni uroił, ale tą, jaka się właśnie w tej chwili utworzy.

Jakoż można było być pewnym, iż jakakolwiek-by się zdarzyła sposobność do wspólnego działania, do wystąpienia na scenę publiczną, do przedsięwzięcia jakiejś czynności w celach ogólnych, — nikt-by tam nie zaczynał od wywieszenia swej własnej chorągwi, od zdobywania dla swoich partykularnych przekonań pierwszeństwa, od kłótni i sporów i plwania na siebie nawzajem, — ale wszyscy-by sobie w ten moment podali ręce, a zapomniawszy na teraz zupełnie o różnicach swych zasad, wzięli-by się jak jeden człowiek do pracy, służącej pospolitemu dobru i widokom ogólnym. —

W tem przekonaniu o ich wzajemnej miłości, jedności i zgodzie, w tej pewności tak zwięzłej spójni pomiędzy sobą, leżała ich powaga na zewnątrz, ich siła na wewnątrz, dzielność umysłów, pogoda serca i szczęście. Toż w samej rzeczy była ta rodzina poważaną w całem sąsiedztwie i swoją powagą wywierała nie w jednym kierunku bardzo zbawienne wpływy,— możnością swoją i siłą zrobiła już wiele dobrego i ciągle służyła ludziom, — a przy pogodzie swojego serca była szczęśliwą, szczęśliwą tem przekonaniem, iż kiedy ją okoliczności w jakimbądź celu powołają na scenę publiczną, to wystąpi jako pięcioramienny posąg z jednego wylany kruszcu i dobru pospolitemu nieobojętne przyniesie pożytki.

Najszczęśliwszym ze wszystkich był oczywiście Dobiesław. On to sam przecież złożył tę zacną rodzinę, on ją chował pod swoim dachem, on jej głównie dodawał siły i ducha, on prawie nad nią panował. To jego była rodzina — on był ztąd niezmiernie szczęśliwym! —

Ale czy jest jakie szczęście w tem życiu, które-by było zupełnem, którego-by nic nie mąciło, któremu-by żadna chmurka nie zasępiała czoła? —

Nie, niema.

A więc i Dobiesław nie był zupełnie szczęśliwym, i on wśród swego szczęścia niejednokrotnie swe czoło zasępiał, i on miał swojego mola który go często dogryzał.

Cóż mu więc dolegało?

Czy nasze wspólne boleści, które z wyroków Bożych już w naszej znajdujemy kolebce, które na całe życie ciężką nas okrywają żałobą, i które, my nieszczęśliwi! musim zabierać ze sobą do grobu? — O nie! — Boleści te bowiem są cząstką składową naszej istoty, są naszą rodzimą chorobą — i więcej, bo są naszem zdrowiem, które ożywiać, wykształcać, rozszerzać, do najwyższej podnosić potęgi, jest naszym obowiązkiem, naszą największą zasługą i chwałą. Dobiesław był zdrów przy tej chorobie i cieszył się, że ją posiada w takim wysokim stopniu....

Jemu dolegała rzecz daleko mniejsza, ale dość ważna. Jemu dolegało to, że miał brata — a żył z nim w niezgodzie, raczej całkiem z nim nie żył, od pięciu lat już go nie widział, już nawet twarzy jego zapomniał! — On, który potrafił tak sprzeczne pogodzić ze sobą żywioły, który całym swym domem i państwem przedstawiał wzór zgody braterskiej, który sam wreszcie był, że tak powiem, wywieszonym sztandarem jedności, — on z swoim bratem rodzonym, z swoją krwią własną, w wiecznem żył rozdwojeniu! — Jakiemiż oczyma patrzy na to świat? cóż o tem powiedzą ludzie? — Bez wątpienia, że świat, zwłaszcza bliższy, znał dobrze jego brata, znał również tego rozdwojenia przyczyny, a zatem powinien go był usprawiedliwić. Ale już dalszy świat nie znał tych przyczyn — a zresztą świat cały jak jest nie wdaje się nigdy w badanie przyczyn i sądzi tylko fakta: a faktem niezaprzecznym była ich obustronna niezgoda.

Ta myśl przypominała się Dobiesławowi już od roku prawie codziennie, niepokoiła go nieraz śród najważniejszego zajęcia, zatruwała mu chwile najweselszej zkądinąd pociechy.....

Zastanawiał się tedy nad tem bardzo pilnie — i sądził swoje zachowanie się względem Krzesława w sposób dwojaki: raz sercem a drugi raz sumieniem. Wszakże ztąd przychodził zawsze do wyroków dwojakich. Kiedy bowiem brał na sąd swoje uczucie, to znachodził je najsprawiedliwszem. Ten brat jego popełnił tyle występków przeciwko niemu samemu, przeciwko swojej własnej rodzinie i przeciw swojej ojczyźnie, był tak niezwichniętym w swem samolubstwie i

tak zupełnie bezpożytecznym członkiem w swem społeczeństwie, tak zaraźliwym przykładem dla drugich, tak ciężkim wrogiem wszelkich spraw dobrych: iż nie zasługiwał na żadne względy, ani na litość, ani na miłosierdzie. Najszlachetniejszą jeszcze karą dla niego była pogarda, ale karą konieczną: bo jeźli świętemi są obowiązki rodzinne, to jeszcze daleko świętszemi obowiązki względem ojczyzny. — Lecz jeźli tę sprawę wziął na sąd świadomego swoich wyroków sumienia, to przychodził do wniosków wcale przeciwnych. A wtedy myślał: Krzesław jest winowajcą, to prawda, zasłużył przynajmniej na powszechną pogardę, i to prawda: ale wymierzywszy tę karę przeciwko niemu, czyliż osięgnie się tem jakibądź skutek dobry i pożyteczny? Uparty przy swoich grzechach dziś, czyż nie będzie trwał w swoim uporze na wieki, jeżeli zostanie wzgardzonym i odosobionym od świata? Pogarda i odtrącanie od siebie ludzi zamożnych lub zdolnych w jakimkolwiek zawodzie, jest-że to w naszem położeniu rzeczą rozumną? Czyż nie lepiej jest winy już popełnione przebaczyć, — postępowaniem szlachetnem z swej strony dać winowajcom pochop i sposobność do uznania swych win i poprawy, — a czy się poprawia istotnie, czy tylko pozornie, z ich usposobień, majątków i zdolności tymczasem dla dobra pospolitego korzystać? — Tak rozumował Dobiesław. Jego purytanizm patryotyczny ciągnął go kędy indziej, a jego sumienie, jego zdrowy rozsądek, jego realizm, znów kędy indziej! I chwiał się, i wahał i sam nie wiedział co-by miał począć....

I jak się to zwykle w takich wypadkach wydarza, nic nie postanowił i nic nie poczynał. Natomiast zaś tylko tem pilniej dowiadywał się o zachowaniu się Krzesława i jego usposobieniach dzisiejszych. Ale i to go nie przeważyło na żadną stronę, chociaż się wielu rzeczy ciekawych dowiedział. Kiedy się bowiem dowiedział, że Krzesław przez śmierć Nowickiego, jego syna i drugiej córki, jakoteż przez szczęśliwe handle zbożowe, przyszedł do tak znacznej fortuny, iż go dziś miano za najbogatszego obywatela w całym powiecie; to go to pociągnęło ku niemu, bo widział, iż im jest bogatszym, tem łatwiej go skłonić do dobrych na korzyść pospolitego dobra uczynków. Lecz kiedy się przytem dowiedział, że Krzesław z pomnażającym się majątkiem w coraz większe popada niedorzeczności, że zaczął na pana chorować, że cały swój dom zcudzoziemczył, że nawet podobno się stara o jakieś zaszczyty, na które niczem sobie nie zasłużył.... to go to jeszcze bardziej odtrąciło od niego. I znowu chwiał się, i znowu nie wiedział co-by miał począć...

Ale tymczasem przyszły mu w pomoc wypadki. Oto z mgły ciemnej, bezbarwnej i martwej, — z mgły dziesięcioletniego po stratach materyalnych i zawodach moralnych spoczynku, — z tej mgły obrzydliwej, w której publiczność polska, nad mglistemi kiwając się dziennikami, zatapiała się głęboko w subtelne nicości rozpraw o »solidarności Państw i wspólności interesów«, a zapomniawszy już prawie zupełnie o sobie, zaczęła przychodzić do wiary w ostateczny rezultat filozofii Heglowskiej: »że wszystko, co jest, dobre jest; — z tej mgły straszliwej, cuchnącej trupem i pogrzebem, zaczęły zwolna wybłyskiwać radośne światła nowego życia i ruchu. Tym razem trzeba podobno koniecznie przyznać to szlachcie, że ona pierwsza, przez nikogo nieobudzona, dała znak głośny, iż już odpoczęła i jest gotową do pracy. Z jej łona bowiem wyszły już wyrobione projekty banków rolniczych, mających wspomożenie naszego ubóstwa na celu, — z jej łona wyszło ruchliwe Towarzystwo ogniowe, mające na celu ubezpieczenie tego ubóstwa od strat niespodzianych, — z jej łona wreszcie wyroiło się tysiąc projektów najrozmaitszych Towarzystw i Spółek, mających na celu skupienie sił i ułatwienie im nabywania wzrostu, i pomnożenia środków materyalnych. Cóżkolwiekbądź, nadeszła już widomie ta chwila, w której każdy przyszedł do przekonania, że czas już ocknąć się ze snu, czas wielki pomyśleć wreszcie o sobie, a jeszcze większy, podnieść obwisłe ręce, podać je sobie i wziąść się wspólnie do pracy.

Dobiesław, człowiek tak skrzętnie i wielostronnie myślący, był naturalnie jednym z pierwszych, którzy dostrzegli przyjście tej chwili. Lecz zaraz najpierwszą myślą, która go uderzyła natenczas, była myśl o Krzesławie. Pomyślał on zaś o nim nie dlatego, ażeby go teraz oplwać i rzucić klątwę publiczną na niego, i tak jego kosztem zwrócić uwagę na siebie i wyforytować się na przewódzcę opinii publicznej; ale właśnie przeciwnie dlatego, ażeby w chwili tak ważnej jak najprędzej mu jego winy przebaczyć, pociągnąć go z sobą i połączyć się z nim do wspólnej pracy....

Była to myśl bardzo szlachetna, rozumna i znaczne obiecująca pożytki. Jakoż od tej chwili szukał już tylko sposobności, ażeby się z nim zejść jak najprędzej....

I sposobność ta wprędce mu się zdarzyła. Było bowiem nie mało ludzi, którzy i w Grodowiskach i w Starodziękach bywali, wzajemne nowiny i tu i tam roznosili i mogli łatwo zawiązać nowy pomiędzy braćmi stosunek. Dobiesław starał się o to; wszakże stało się jeszcze daleko lepiej: niebawem bowiem dowiedział się, że i Krzesław, który miał także w tem pewien interes, stara się o zawiązanie tego stosunku. A jak tylko się o tem dowiedział, — na bok wszelka prywata, gdzie idzie o sprawę publiczną! — i zaraz do Starodziek pojechał....

I jechał tam z głową pełną projektów o bankach i spółkach rolniczych, o ajencyach i spedyturach, i Bóg nie wie jakich nowych podstawach dla krajowego rolnictwa, przemysłu i handlu. On, tak dokładnie obeznany z temi rzeczami, mógł na tej drodze zrobić niezmiernie wiele; on się czuł w sile, że co przedsięweźmie, to doskonale wykona, a co wykona, to pozostanie cennym wzorem dla kraju: a pomimo to

przecież zgadał już piersi swoje ze sąsiadami, demonstrował, namawiał, prosił, gniewał się i rozpaczał — a nie mógł doprowadzić nawet do najmniejszego zawiązku. Jakże-by dziś był szczęśliwym, gdyby bez obcej pomocy a tylko z samym Krzesławem taką spółkę zawiązał! Mieliby oni razem dosyć sił i pieniędzy, ażeby takie przedsiębiorstwo rozpocząć — a gdyby je tylko poczęli, to już-by była niezawodna wygrana. O ileż jeszcze szczęśliwszym byłby z tej spółki dlatego, że przez nią zawiązał-by ścisłe z Krzesławem stosunki. Wciągnąwszy go w jakibądź związek ze sobą, już-by go nigdy nie wypuścił — a chyba-by się całe piekło przeciwko niemu sprzysięgło, gdyby go nie przerobił przynajmniej na zewnątrz i nie uczynił choć w części pożytecznym dla sprawy publicznej! —

Tak zajechał przed pałac w Starodziękach.

Jednak chociaż na wiele zmian był przygotowany, musiał niepomału i niejednokrotnie się dziwić, co tam dziś zastał....

Krzesław był już dziś całkiem innym — i przedewszystkiem mieszkał inaczej.

Dobiesław już na dziedzińcu zastał pański porządek. Gazony utrzymane starannie, na nich porozrzucane róże szczepione na głogach, kwiatów wybornych mnóstwo, drzewa utrzymane wzorowo: od tego wszystkiego odbijał wspaniale pałac, zrestaurowany zupełnie, błyszczący jasnym kolorem muru. Ogromne podłużne okna zasłaniały śnieżnej białości stosy, — cisza była przed gankiem — a w ganku, pomiędzy gęstemi rzędami kolumn, oczekiwała gościa suto galonowana liberya w barwie herbownej. Wszakże kiedy Dobiesław zajechał, zaraz odsłoniło się jedno okno w połowie i Krzesław, zapewne uprzedzony o jego przybyciu, wypadł z hałasem na ganek:

— Jak się masz! jak się masz! sto lat minęło, jak'eśmy się widzieli! jesteś nieoceniony, żeś się nademną zmiłował! Ale jakież masz konie! angliki, pół krwi a może i więcej! a jaki wózek wyborny! jaka uprząż praktyczna! Wszystko u ciebie jest doskonałe, rozumne, nie zostawiające nic do życzenia: cały świat cię się nie może odchwalić! Chodźmyż do pokoju! Jakóbie! fajek, sygarów — a może sobie każesz czem służyć? może lodów, owoców, sorbetu! proszę cię, chciej tylko rozkazać, przecież jesteś u siebie!

Tak go zarzucił Krzesław mnóstwem frazesów, że nie podobna mu było odetchnąć. Jednak nie przerywał mu bynajmniej jego gadatliwego ferworu, owszem sam w tem mu dopomagał: był to sposób najlepszy uniknienia drażliwych przy powitaniu tłumaczeń, a nadto jeszcze pozwalał mu pilniej się Krzesławowi przypatrzyć. Jakoż nie trudno mu było dostrzedz, iż jego brat zmienił się sam do dnia dzisiejszego tak samo, jak jego całe otoczenie. Nie był on już dziś chudym, wyżółkłym i zzieleniałym, nienasycona chciwość zysku nie zapalała piekielnym ogniem jego zaklęsłych oczu, żydowska rezygnacya i skąpstwo nie ubierały go w bawełniane koszule, w brudny kożuszek i bóty zbłocone: ale przeciwnie, był rumianym i tłustym i wygładzonym jak wół wyprzężony z roboty a postawiony na stajni, uśmiech zadowolenia błyszczał mu na twarzy i w oczach, wykwintna bielizna i suknie obwijały jego postać okrągłą — i inny głos już miał dzisiaj, inne maniery i całkiem inną fantazyę!

Weszli do pokojów: ba! i tutaj już całkiem inaczej! Piękne na ścianach tapety, szlifowane posadzki, wiedeńskie sprzęty, modne graciki, lustra, kotary, dywany. Wszystko to wprawdzie strasznie nowy, strasznie błyszczące a gdzie niegdzie nawet i kuse, — rzadko co było tam w samej rzeczy, czem się być wydawało, wszystko imitacya: ale wszystko to było błyszczące i niezmiernie paradne. Dobiesław niektóre rzeczy oglądał i wszystkie chwalił z grzecznością francuzką, — a Krzesław, zadowolony do najwyższego stopnia lecz udający jak gdyby nic, rozpierał się w miękkim fotelu i wznosząc się nad wszelkie poziomości zwykłego życia, mówił o gabinetach i królach, o giełdach i targach pieniężnych, o kolejach żelaznych i statkach parowych.

Przeszli potem z kolei do salonów niewieścich. Tam Krzesławowa, w sukni przeraźliwie jedwabnej i krynolinie rozmiarów bajecznych, otoczona wystrojonemi dziećmi i ich nauczycielami, oczekiwała z niecierpliwością ich rychłego przybycia. I tutaj także taki sam przepych i błyskotki — a nadto jeszcze guwerner francuz i guwernantka angielka, i ogromne niemczysko, z fizyognomią łokciowej długości, udający kamerdynera. Przerażający tu można było słyszeć hurkot łamiących się z sobą języków; lecz Krzesławowa zwitała Dobiesława po francuzku, dosyć płynnie i przyzwoicie. Dobiesław przysiadł się do niej i mówił takim językiem jakim kazano; ale przekonał się niebawem, że lubo jemu tak prowadzić rozmowę było daleko łatwiej, jednak jej nie wszystko się dało tak wypowiedzieć, jak było pomyślanem. Przerzucił więc rozmowę na język polski — a wtedy przekonał się prędko, że Krzesławowa byłato bardzo poczciwa i bardzo serdeczna kobi ta, zdrowego serca i rozsądku, przywiązana do domu, do dzieci i kraju, nie umiejąca do dziś dnia zgodzić się z nowem swem otoczeniem, bolejąca niezmiernie nad tem, że nie mogła żyć w bliskich stosunkach z owym uroczem domem w Grodowiskach, o którym tyle pociągających rzeczy słyszała, — lecz przytem wszystkiem wierząca w swojego męża jak w ewanielię i poddająca się jego rozkazom jak murzyn, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami. Odkrycie to bardzo ucieszyło Dobiesława: bo widział jawnie, jak nałogi rodziców wyradzają się w dzieciach — i widział już jakby własnemi oczyma, jakie zbawienne wpływy mogła-by na nią wywierać Klotylda.

Wyjątkowym sposobem dano dziś wcześniej herbatę, przy której zastawiono wszystkie rzeczy konieczne i mnostwo niekoniecznych a nawet całkiem do herbaty nienależących.. Wszystko to zapewne dlatego, ażeby Dobiesławowi okazać, jak miłym i pożądanym był gościem.

Po herbacie znaleźli się wreszcie obadwa bracia sami w pokoju Krzesława — i wtedy dopiero zaczęła się zajmująca dla Dobiesława rozmowa. Ażeby tem pewniej i łatwiej dopiąć swojego celu, t. j. poznać dokładnie dzisiejsze usposobienie Krzesława, postanowił on sobie pozwolić mu mówić swobodnie, tylko czasem mu rzucać pytania i ile możności jak najmniej mu przeczyć. Mówiono tedy przedewszystkiem o interesach — i Krzesław mówił w samej istocie jak najswobodniej....

— Ja na moje powodzenie całkiem się skarżyć nie mogę, — spowiadał on się swojemu bratu, — owszem przeciwnie, powodzi mi się dobrze aż do znudzenia. Oczyściłem Starodzięki zupełnie, pozaprowadzałem gorzelnie, browary, młyny, fabryki klepek, tartaki, ogrody, pasieki... Starodzięki przynoszą dziś dochody bajeczne. Gdybym żył jak sybaryta, to nie był-bym w stanie ich przeżyć. To też gotówka się mnoży z dochodów ziemi, i mnoży się oczywiście przez obrót. Ale-bo też-to kraj, jakby stworzony do robienia pieniędzy! Tu dosyć się schylić, ażeby znaleźć pakę banknotów; ale gdzież-tam! i schylać się nie trza, bo same się pchają do ręki. Wyobraź sobie, kiedyś tu do mnie przychodzą żydzi i proponują mi, ażebym im pozwolił ich własnym kosztem wyrestaurować na drugim folwarku gorzelnię; zezwoliłem, zobowiązałem się dodawać im pewnej ilości słomy i siana — a oni mi położyli trzydzieści tysięcy na stole. Kiedy indziej przychodzą do mnie chłopi i proponują, ażebym zaprowadził uprawę konopi na większą skalę, a oni je będą zakupywać na pniu; obrachowaliśmy się, zaprowadziłem konopie i to mi przynosi kilka tysięcy co roku. Przywleka się tu jakaś czeska familia, powiadają się być chmielarzami i chcą mi urządzać plantacyę chmielu; przyjąłem ich, założyłem chmielarnię i z kilkunastu morgów pola mam znów kilka tysięcy dochodu. Przychodzi wreszcie jakiś Włoch od kolei i i prosi żebym mu pozwolił w tutejszych lasach poszukać wapna. Poszedł, znalazł wapno, znalazł glinę na cegły, pali dziś wapno, robi cegły, dachówki, i daje mi także parę tysięcy co roku. I jak zaczął szukać po polach i lasach, to znalazł mi w przeszłym roku węgiel kamienny a w tym roku kamfinę: Bóg go tam wie, czego jeszcze nie znajdzie.... Ale cóż to z tego wszystkiego! Wierz mi, mój Dobiesławie! pieniądze szczęścia nie dają. Może gdzieindziej, ale nie u nas... Dobiesław go zaczął słuchać z coraz większą uwagą, ale on umilkł zamyśliwszy się smutno. Więc go zapytał:

— Nie rozumiem cię dobrze. Przecież zdaje mi się, że w kraju naszym, takim ubogim, pieniądze znaczą daleko więcej, niż wszędzie indziej....

— Ale gdzież-tam! — zawołał Krzesław, — miej ty tu u nas wsi wiele chcesz, miej całe skrzynie banknotów: zawsześ ty taki szlachcic nic nieznaczący, którego nikt nie zna a lada kto boki obszturka, jakbyś siedział na jednej wiosce. O jakiejś wyższej pozycyi w świecie, o znaczeniu, o konsyderacyi, ani ty nie myśl, bo tego nigdy nie dopniesz....

— A! — rzekł na to Dobiesław, — przecież zdaje mi się, że i o znaczenie u nas nie trudno...

— Ale bah! — przerwał mu Krzesław,— spróbuj tylko o cobądź się postarać a obaczysz.

Smutno się zrobiło Dobiesławowi, bo już się domyślał, o jakiem brat jego mówił znaczeniu; jakoż tylko gorżko spojrzał na niego i milczał. Wszakże on zabrał znowu po chwili głos i tak mówił:

— Proszę cię, czy nie wiesz ty, co też spowodowało naszego pradziada Józefata, że hrabstwa nie przyjął? Ja tego nie mogę zrozumieć. Ten człowiek musiał dostać pomieszania zmysłów na starość.... Ale tak to niektóre rodziny są nieszczęśliwe!

Wytrzeszczonemi oczyma patrzał Dobiesław na niego, bo zaledwie mógł wierzyć swym uszom. Milczał bo tak postanowił; ale przecież się całkiem nie mógł powstrzymać i rzekł półgłosem do siebie: — *Crétin!* Tymczasem Krzesław mówił dalej:

— A niemałe to jest nieszczęście, bo czy uwierzysz ty temu, że tym jednym krokiem zagwoździł nas przy gołem szlachectwie na zawsze? Oto patrz, co mi o tem piszą z Wiednia! Wszystko tam wiedzą... tak wiedzą, że o mało człowieka dyabli nie wezmą.

To mówiąc, dobył list z biórka i dał mu go do czytania. A tymczasem mówił dalej:

— Nawet podobno o szambelanię będzie nam trudno...

— Mnie zapewne, że trudno, — rzekł na to Dobiesław, — ale tobie... nie wiem istotnie dlaczego.

— Z bardzo prostej przyczyny... genealogii ani rusz wysztukować.

— A! — zawołał na to Dobiesław, — jeżeli naszej genealogii złożyć nie można, to już nie wiem doprawdy, kto ją mieć może. Przecież my od czterech set lat jesteśmy w posiadaniu Grodowisk: czego niemasz w księgach kościelnych, to jest w naszych papierach.... ale prawda! papiery te tyś sprzedał przez licytacyę.

— Jam je sprzedał! — zawołał Krzesław z rozpaczą, zrywając się z miejsca, — ja sprzedałem familijne papiery! zmiłuj się.... papiery takie były tu w Grodowiskach?

— *Pends-toi, mon cher*, — rzekł Dobiesław spokojnie, — papiery te były, tyś je sam sprzedał i zagwoździłeś się jeszcze raz przy gołem szlachectwie.

Krzesław zaczął dalej mówić o tych papierach i mówił tak długo i nudnie, że aż Dobiesław, ażeby tylko przerwać tę rozmowę, musiał mu powiedzieć:

— No, ale uspokój się o te papiery. Ja je niegdyś czytałem, nie dla szambelanii, ale dla nauczenia się historyi naszej rodziny, i powiem ci naszą genealogię z pamięci.

— Znasz? wszystkich znasz? — rzekł żywo Krzesław, — nawet i linię Szydłowskich.

— A... o Szydłowskich nic nie wiem.

— Któż była z domu Szydłowska, nasza babka?

— I tego nie wiem.

— Ba! otóż to jest! — rzekł Krzesław, — resztę i ja wiem, brak mi tylko linii Szydłowskich.... I umilkł. Po chwili dopiero zabrał głos i zapytał:

— Proszę cię, cóż się dzieje z naszym dziadem Szydłowskim? Ja wiem tylko tyle, że za jakieś spiski przeciwko Rossyi wzięto go na Sybir; ale czy go uwolniono z Sybiru, czy jest tam do dziś dnia? czy umarł, czy żyje? nic nie wiem. O ile z opowiadań matki umiem ocenić wiek jego, to zdaje mi się, że jeszcze nie jest tak bardzo stary; mógł-by żyć jeszcze... Ty nic o nim nie wiesz?

Wspomnienie starego Szydłowskiego, który był zawsze znakomitym człowiekiem a który przez swoje olbrzymie cierpienia nabierał niewysłowionego uroku w oczach każdego Polaka, rozrzewniło Dobiesława do wysokiego stopnia. Był to przecież rodzony dziad jego i był on zawsze, jak o tem już kilkakrotnie wspomniano, z niezmiernem uwielbieniem dla niego... Więc odpowiedział z żywem zajęciem, ale zarazem z głębokim wyrazem żalu:

— Oh! ten nasz dziad ukochany! Jego święta postać stoi mi wiecznie w pamięci i cięży jak grzech śmiertelny na mojem sumieniu! Ja niestety także o nim nic nie wiem!... Wiem tylko tyle, iż na Sybirze nie umarł, bo około roku 1842 znajdował się na wygnaniu w południowych guberniach. W tym czasie pisał tu list do naszej matki z Moskwy; ale nasza matka była wtedy już w grobie: odebrał go kanonik. Odpisał mu, donosząc o całem położeniu naszej rodziny, — ale nowego listu nie otrzymał od niego. Dopiero w roku 1853 zgłosił się znowu nasz dziad do niego, dowiadując się o nas, o Grodowiska, o grób naszej matki, donosząc mu, iż ma nadzieję niebawem tu przybyć, tu resztę życia przepędzić i kości swoje złożyć w grobach naszych rodzinnych. Mam ten list, sto razy go przeczytałem. Jest on bez miejsca i daty i pisany nadzwyczaj niewyraźnie... lecz widać z niego, że nasz dziad nowe przeszedł męczeństwa, że długie wytrzymał więzienie, że mieszkał wtedy gdzieś pod górami Kaukazu, gdzieś na wsi, czy w stepie, czy w puszczy. Jest on przytem pełen nadziei; ale bodaj czy ta nadzieja nie opiera się raczej na możności wymknięcia się ztamtąd, niżeli na łasce cesarskiej... Wszakże nasz dziad nie przyjechał. I pocóż-by miał zresztą przyjeżdżać, kiedy kanonik mu doniósł, że Grodowiska zostały sprzedane, że się w nich Niemcy rozsiedli, pamiątki nasze rodzinne zostały posprzedawane przez licytacyę a nasz kościółek z grobami idzie w rozsypkę!.. Kiedy ja Grodowiska kupiłem — kończył Dobiesław— usiłowałem wszelkiemi sposoby dać mu znać o sobie i ściągnąć go tutaj. Pisałem do jego dawnego plenipotenta, pisałem do moich znajomych do Kijowa, do Odessy, do Moskwy, ale wszystko napróżno. Zarządziłem przed rokiem kwerendą przez ambassadę, ale do dziś dnia nie mam odpowiedzi. Trza-by tam jechać, oh! trzeba-by jechać koniecznie! Nasza nieboszczka matka tak się tam rwała do niego — ze zgryzoty po jego stracie w tak ciężką popadła chorobę — jej duch wyrwał się z ciała, aby polecieć na Sybir!... Ale cóż! ja jestem tutaj jak więzień uprzężony do pracy! ja na kilka tygodni, na kilka dni nawet nie mogę oddalić się z domu. Nie zebrałem się dotąd i podobno się nigdy nie zbiorę...

— Wiesz co? — rzekł na to Krzesław — jedź ty tam do tej Moskwy. Przecież cię tu nie rozkradną, masz ludzi. Ja poniosę połowę kosztów podróży... Ale go Dobiesław nie słyszał, bo popędził wszystkiemi myślami za starym Szydłowskim.

Tymczasem Krzesław, nie zważając nic na to, mówił niespracowanie. I Bóg sam wie, o czem tam mówił, a raczej o czem nie mówił. Przeszedł nareszcie na nasze stosunki krajowe, na które wszystkiemi głosami narzekał, na stosunki ludzi do ludzi i na chwilę obecną. O tej chwili niestworzone poplótł androny, a wreszcie rzekł:

— To rzecz niesłychana! takie wdzieranie się w rzeczy prywatne, takie paszkwile, takie zuchwałe zarzuty! I czegoż oni chcą od nas? czy myślą nas wszystkich ogłosić zdrajcami? czy chcą nas może... bo już sam nie wiem, doprawdy.

— Któż taki? — zapytał, budząc się ze snu Dobiesław.

— Jakto? to nie czytałeś? — nie czytałeś, co napisano o grobach Sieniawskich w Brzeżanach?

— Czy czytujesz już teraz polskie dzienniki?

— Moja żona je czyta — a zresztą pełno jest mowy o tem w całem sąsiedztwie.

— Więc o cóż ci chodzi? — pytał dalej spokojnie Dobiesław.

— Chodzi mi o to, że jestem jak w rogu. Czego ci ludzie chcą? Chcą, żeby coś myśleć, coś gadać, coś robić. Ależ mój Boże! cóż tutaj robić w takim kraju nieszczęsnym? Przecież każdy coś robi. Kto ma majątek, ten na nim gospodaruje: a kto go nie ma, ten się stara o niego...

— I na tem już koniec?

— No, ja tego nie mówię. Przyznaję chętnie, że kto ma więcej majątku, niżeli go potrzebuje dla siebie, ten może coś zrobić i dla kraju... chociaż nie wiem istotnie, co tutaj zrobić. Ale dlaczegoż na tych, którzy nie mają głów tak jenialnych, aby to mogli wymyśleć, wpadać zaraz z takim krzykiem, z takim hałasem, dlaczego ich paskwilować, dlaczego przeciw nim zaraz podnosić krucyatę?...

— Przedwszystkiem innem — przerwał mu prędko Dobiesław— nie dziw się temu. Wiesz bowiem o tem że my wszyscy Polacy mamy tę wadę, iż bardzo prędko popadamy w ostateczności. Mówmyż otwarcie. Czy ty, kiedyś sobie zamierzył robić majątek, nie popadłeś także w ostateczności takie, ktore są niepozwolone? Czy dziś, pragnąc znaczenia i konsideracyi, nie popadasz także w ostateczności? Zacóż się dziwisz, że ludzie, którzy są przeciwnych tobie przekonań, popadają na swojej drodze w ostateczności przeciwne. Może są ludzie, którzy mają prawo, na te ostateczności powsta-

wać: ale jeżeli jest jeden tylko, któremu to prawo żadną miarą nie służy, to tym jedynym ty jesteś. A teraz pozwól mi siebie zapytać, czy ty istotnie nie wiesz, co można robić dla kraju?

— Ja nie wiem.

— To ja ci powiem. Czy należysz do Towarzystwa rolniczego?

— Należę do obydwóch.

— Ale ani wkładek nie płacisz, ani na posiedzenia nie jeździsz, ani na wystawy nic nie posyłasz. Idźmy dalej. Czy przystąpiłeś do Towarzystwa ogniowego?

— A nie.

— A czemu? czy nie przysłano ci deklaracyi?

— Owszem przysłano; ale jakże chcesz, żebym ja się tam assekurował, gdzie trzeba opłacac premię tak wysoką, kiedy ja się assekuruję w Tryeście za połowę tego?

— Hm! — rzekł niecierpliwie Dobiesław — najpierwej nie zrozumiałeś dobrze projektu, bo przecież zapłacona nadwyżka nigdy ci u nas nie zginie, owszem z czasem sowicie się wypłaci; ale gdyby nawet zginęła, to czyż to, żebyśmy mieli Towarzystwa swe własne, żeby nasze pieniądze nie wychodziły z kraju, żeby garstka naszych rodaków znalazła uczciwy dla siebie zarobek, nie warte jest ani jednorazowej opłaty jakiejś połowy lub trzech ćwierci procentu od małej części twojego majątku? Zastanów się nad tem... przecież to warte zastanowienia.

— No, to cóż tam! to ja to zapłacę...

— A proszę cię, a cóż mówisz o Spółkach handlowych?

— A! o tych Spółkach ja już sam kilka razy myślałem. To bardzo rozumna jest rzecz. Ja jej dla siebie nie potrzebuję, bo ja mam bezpośrednie stosunki z Wrocławiem a nawet z Hamburgiem, ale wziął-bym się chętnie do tego. Bo patrz-no, co-by tu można za jednem cięciem osięgnąć celów. Założywszy taką Spółkę tak jak ja ją rozumię, możnaby *primo* żydom okrutną dać cięgę, *secundo* nieźle obracać większemi kapitałami, a *tertio* nadzwyczaj ważny przynieść krajowi pożytek. Ale trza-by to zrobić tak jak ja wiem, to znaczy: wziąć całą okolicę w swoją wyłączną opiekę i nietylko zboże, gorzałkę i drzewo, ale nic zgoła, ani jednej skórki zajęczej nie wypuścić z kraju, tylko przez swoje ręce. Eh! ja-bym to umiał urządzić! Ale cóż, na to trza przedewszystkiem pieniędzy — a tu święta golizna do koła.

Uśmiechnął się na to Dobiesław, bo jakkolwiek nie całkiem tak samo rozumiał o Spółkach, jednak jeszcze tylko takiego wyznania mu było potrzeba, ażeby być pewnym, że potrafi swojego brata wciągnąć do pracy pożytecznej dla kraju. Jakoż rzekł tylko:

— Widzisz więc, mój Krzesławie, że było-by się czem zająć, gdyby tylko była wola po temu. Bo nie myśl wcale, żebyśmy byli tak całkiem ubodzy, aby nas nawet na założenie Spółek nie stało. Ot! jest nas tu tylko dwóch: ileż ty możesz dać do takiej Spółki?

— Co! ja dam sto tysięcy!...

— I ja dam sto, bo razem z teściem zbierzemy je łatwo.

— Ja dam nawet i dwakroć — rzekł prędko Krzesław.

— A ja może dam także dwakroć — odpowiedział Dobiesław, — bo przecież zbiorę coś u sąsiadów.

— Zbierzesz? to może-by nawet można istotnie coś ułożyć i zacząć. Wiesz tedy co, wyrobię ja projekt, a ty wyrób drugi, a za pare dni pomówimy o tem na serio — i to w Grodowiskach.

— Dobrze, bardzo dobrze, będę cię oczekiwał z niecierpliwością. Bądź tedy zdrów!

— Jakto? jedziesz? noc przecie, może nawet niebawem dzień będzie...

— Na żaden sposób nie mogę nocować, ja o świcie być muszę przy swoich fabrykach. Konie moje czekają już od godziny...

Tak tedy się pożegnali, i Dobiesław odjechał do siebie. —

(*D. n.*)

JENIEC.

Stał blady i milczący z posiekaną głową,
Krew miał na twarzy, w tył związane ręce —
Pierś mu pękała w rozpaczliwej męce,
Lecz skargi żadne nie wyrzekło słowo. —

— „Kto jesteś?“ zapytał brygady jenerał.

— „Jeniec“ odpowie blady żołnierz.

— „Twój stopień?“

— „Żołdak szlify mi pozdzierał,
Zdjął krzyże i odpruł kołnierz.“

— „A szabla twoja?“

— „Tam, w dębowym lasku
Na twoim jenerale złamała się kasku.“

— „I ty żyjesz?“

— „Dziesięciu na mnie się rzuciło—
Uległem, gdy ośmiu trupów przy mnie było.“

— „Mężny jesteś i dzielny, jenerał mu rzecze,
Lecz powiedz mi człeku nieśmiertelny,
Co masz przy sobie, że cię szabla nie zasiecze,
Żeś taki mężny i dzielny?“ —

— „Miłość ojczyzny!“

— „O w takim szale
Jedno powinno zabić cię słowo....“

— „Jakież to słowo? mów jenerale!“
Zapyta jeniec z schyloną głową. —

Jenerał podniósł się na koniu,
Przyłożył rękę do czoła i spojrzał po błoniu,
Gdzie szeregi walczących widać było w dali,
I rzekł patrząc na jeńca: — „Wasi przegrali.“ —

Tym słowom jenerała snać jeniec uwierzył,
Bo padł na ziemię — za chwilę — już nie żył. —

-y-

Dramat polski w ostatniem pięcioleciu.

I.

Jedna z przyczyn ubóstwa dramatu—repertoar sceniczny—konkursa.

Wacław Zaleski z Oleska pisał w r. 1827 o dramacie polskim:

„Cóż my mamy? ledwie kilka komedyi prawdziwie polskich, dwie lub trzy sztuki prawdziwie słowiańskie, — reszta wszystko cudze. Najpiękniejsze oryginalne trajedye nasze, z dziejów nawet ojczystych, czyniłyby zaszczyt lite taturze francuzkiej albo niemieckiej a nawet może i greckiej, biorąc je zaś pod względem literatury ojczystej, *nie mogą* być uważane *tylko jak* tłumaczenia, nie słowne, prawda — ale *duchowe.* — Nie dość na tem, chełpimy się jeszcze z tego, że ten lub ów nasz pisarz *podobniusieńki* do Rasyna albo do Kornela, a przecież Rasyn i Kornel, Aischylos i Sofokles do nikogo nie podobni, tylko do samych siebie, Szekspir nie ma sobie podobnego, Kalderon nie ma sobie podobnego, nawet Indyanin Kalidasa, którego tragedya Sakontala dwa tysiące lat przeżyła, nie ma sobie podobnego; nasi tylko oryginalni pisarze, do całego świata podobni. — Jakże ma być inaczej? Kto się prawdziwie słowiańskim odezwie głosem, to albo w obcym języku, albo tak słabo, że go ledwie słychać, albo zarzuci go zgraja tych klasyków w półtora tysiąca lat po upłynieniu czasu klasycznego, lub tych romantyków bez wyobrażenia o romantyczności. My sami do gotowego zasiąść wolimy, jak się o nowe postarać. Francuzkich gramatyk jest wiele, Dobrowskiego słowiańska tylko jedna.“ —

Od czasu skreślenia tych słów, ubiegło lat trzydzieści. W tym okresie zaszły w dramacie polskim zmiany ogromne, widać postęp niezaprzeczony. — Poezya trafiwszy na żywioł narodowy — umiejąc słowo niepożyczane od obcych, stwarzać z istoty życia narodu i dla narodu, rozwinęła się szybko a wzniośle, a rozwinięciem swojem wywarła wpływ na cały bieg literatury naszej.

Wpływ ten, oddziaływa i na dramat polski, stojący dotąd odłogiem i nie mający dostatecznego poparcia. — Oddziaływanie to atoli słabiuchno jeszcze pulsuje; przeobrażenie się, a raczej do rzewanie dramatu jest nader powolne i małoznaczące w stosunku do obecnego ruchu w literaturze; pomimo tego, nie należy powątpiewać o pięknej jego przyszłości, bowiem nie stawa w miejscu, ale podąża naprzód.

Inaczej nie może być, więcej też nie wymagajmy obecnie od dramatu polskiego. — Nie trzeba bowiem zapominać, że dramat nasz, to najmłodsza gałązka w rozrosłem drzewie piśmiennictwa polskiego. — Mieliśmy w ubiegłych wiekach dzieła naukowe, mieliśmy epos i poetów lirycznych, ale powieści, dramatu i sceny nie było. — Powieść niemal stworzyli i wydoskonalili *Kraszewski* i *Czajkowski*, a późniejsi pisarze podobnymże obdarzeni talentem rozszerzyli jej granice. — Dramat stworzyli: *Zabłocki, Fredro, Korzeniowski;* po nich nie mamy więcej równych im potęg umysłowych, któreby dzieło stworzone wykształciły tak dalece, iżbyśmy mogli już teraz pochlubić się wielkością dramatu naszego, w obec dramatu na Południu, Zachodzie i w środkowej Europie. —

Scenę polską założył *Bogusławski* i rozkrzewił po kraju. Do jego czasów były tylko próby chwilowe na małą skalę.

Zaniedbanie niwy scenicznej w niedawnej przeszłości wywarło wpływ na teraźniejszość. — To wszystko, co nam dochowały pomniki przeszłości aż do połowy zeszłego wieku nosi na sobie takie cechy niemowlęctwa, że całe owoczesne dzieje dyalogu scenicznego, tylko za objaw jego kiełkowania na niwie naszej, za zapowiedź onegoż, ale nie za sam dramat uważać można.

Dramat polski sceniczny zawiązał się dopiero za lat naszych, dla tego rośnie on powoli, daleko mu do męzkiej dojrzałości, a tem trudniej dopatrzeć w nim onej pełności form, owej pewności słowa, które znamionują zupełny rozkwit sił i ducha. — Dla tego trudno łudzić się wielkością dramatu u nas. — Jeszcze nie możemy stawac na równi z obcymi. — Na arcydzieła sceniczne, któreby przechodziły na własność całego świata piśmienniczego, nie zdobyliśmy się podziśdzień.

To co stworzyli *Calderon, Wega, Szekspir, Goldoni, Wolter, Kornel, Molier, Szyller,* przewyższa (uwzględniając prace ich w odniesieniu do wieku w którym pisali) wszystko to, co posiadamy w dramacie naszym. Nie jest to dowodem ubóstwa twórczości, bo peryod panowania dramatu jeszcze nie zaczął się u nas, — przyszłość dopiero pokaże, ażali potrafimy dogonić tych, którzy nas wyprzedzili.

Gdy cudzoziemcom mówimy o dramacie polskim dzisiejszym, mamy na uściech dwa tylko nazwiska; *Fredro* i *Korzeniowski.* Oni są alfą i omegą sceny naszej.—Pierwszy milczy już od lat dwudziestu, a skoro drugi zamilknie, nie znajdziemy nikogo pomiędzy dzisiaj piszącemi, któryby objął po nim dziedzictwo talentu i obfitości.— Pojawiło się kilku wcale uzdolnionych dramatyków, ale tylko na chwilę; napisali jedno lub dwa dzieła głębszego pomysłu i usunęli się na zawsze z widowni, zwróciwszy pióro swe do prac łatwiejszych.

Mimo, że *Korzeniowski* i *Fredro* nie doczekali się następców, nie sądzę, iżby dramat długo osierocony pozostawał — pojawią się nowi pisarze i nowe dzieła znakomite, — trzeba tylko, żeby dramat popierany był przez tych, których to jest obowiązkiem. Potrzeba, ażeby dramat był tem dla sceny, czem nawzajem scena powinna być dla dramatu polskiego, bo jedno z drugiem winno być niby małżeństwo, nierozdzielonem. Pierwsze—jest rzeczą piszących, drugie — jest powinnością dyrektorów sceny. Nie wiele

dotąd zwracano u nas uwagi na dramat, na potrzębę ubogacenia go, mniej zaś zastanawiano się nad koniecznością solidarności dramatu ze sceną. — Dla tego to twórcy dramatów, ci nawet, których do tego pobudzała natura ich talentu, obmyślali sceny i dyalogi przepyszne, ale nieforemne. — Tem psuli dramat.— *Magnuszewski*, *Odyniec*, *Zieliński Gustaw*, *Olizarowski* nic nie uczynili dla dramatu, choć układali dialogi wspaniałe.

Czyjaż w tem wina? częścią piszących, częścią i okoliczności, które wywołały ten kierunek nienaturalny w dramacie.

Dramat jest tak związany z losami sceny, że rozrost jego zawisł wyłącznie od rozrostu sceny. — Kiedy dźwigano scenę, dźwigał się i dramat. — Scena wywołała prace *Kniaźnina*, *Bohomolca*, *Zabłockiego*, *Wybickiego*, prace nie dostatecznie znane, nie dosyć ocenione.

Kiedy zajęto się dolą teatru warszawskiego po roku 1808 powstali tragicy *Feliński*, *Wężyk*, *Kropiński*, *Niemcewicz*, a dzieła ich powtarzano na wszystkich scenach.

Po r. 1831 zmieniły się okoliczności, usunięto tragedyę ze sceny warszawskiej, wzbroniono jej wstępu upatrując w niej żywioł podniecający, więc niebezpieczny. Jednocześnie wygnano ją i z innych scen prowincyonalnych, i tylko przez czas niedługi chroniła się ona na scenie lwowskiej i krakowskiej.

Była to nieszczęśliwa epoka dla dramatu. — Wydalony ze sceny, nie miał sposobności kształcenia się i rozwijania. — Wychodźtwo części wykształconej narodu na zachód, nie przyniosło zbyt dotkliwego uszczerbku innym gałęziom literatury. Poezya mianowicie, zabłysnęła nowem światłem poza granicami kraju... Dramat tylko, nie mógł rozwijać się pod niekorzystnemi dlań warunkami, bo mu niedostawało punktu oparcia — nie dostawało sceny ojczystej. — Dla tego to jeden *Słowacki Juliusz* pisał dramata za granicą, rozpocząwszy je pisywać za pobytu w kraju.—

Nie miano gdzie wystawiać tragedyi, więc przestano je układać, a aktorowie zapomnieli je wygłaszać. Miejsce ich zajęły melodramy tłumaczone i niby narodowe krotofile, którym jednak narodowemi być nie było wolno, bo każde słowo autora przechodziło przez kontrolę nieubłaganą.

Dla tego to, oddana scena warszawska pod nadzór nie mający z nią nic wspólnego, zapełniła się powabnemi tancerkami, i atletycznie zbudowanemi baletnikami, lecz schła i nikła w uściskach swego opiekuna. — Bawiono, roznamiętniano publikę zmysłowością, udatnie utoczonemi formami ciała, a zabijano formy ducha, odtrącano wszystko, cokolwiek mogłoby wyższą myślą zapalać wyobraźnię.

Był czas, a trwało to przez lat dziesiątki, że przyjęcie oryginalnej sztuki na scenę warszawską, uważano za fenomen; dosyć przejrzeć lata 1833 do 1845, aby się przekonać o nędzy, o poniżeniu repertuarza warszawskiego. — Nie było nigdzie wyrzeczonem w przepisie, ale było zastosowanem w wykonaniu, że na scenę warszawską przyjmowano tylko te sztuki oryginalne, które skleił reżysser *Jasiński* lub te, które będąc piórem nieudolnem nakreślone, nie zagrażały rozpalaniem imaginacyi. — Czyniono to celem przeciwstawienia złych dzieł oryginalnych z dzielmi tłumaczonemi, celem wmówienia w publikę, że w naszej literaturze, nie mamy nic godnego sceny. — Obawa potęgi żywego słowa narodowego, wywoływała te zabójcze dla dyalogu ojczystego środki.

Na prowincyonalnych scenach Królestwa i Litwy wolno było odgrywać te tylko sztuki, które w Warszawie były dozwolone. Tym ostrym przepisem zaparto drogę dramatowi ojczystemu i do scen prowincyonaluych. — *Lublin*, *Wilno*, *Żytomierz*, *Kijów*, *Kamieniec*, *Mińsk*, *Kielce*, *Płock* miewały stale sceniczne widowiska.

Ich repertoar atoli byłto repertoar warszawski. — *Indianna i Charlemagne*, *Antoś i Antosia*, *Pokoik Zuzi*, *Papugi naszej babuni*, *Biedny rybak*, *Chłop milionowy*, byłyto sztuki powtarzające się corocznie, wsparte melo- i dramatami jak *Rita hiszpanka*, *Sieroty z Genewy* i t. p. — Zato tragedya, zato sztuki kontuszowe choćby najniewinniejsze jak *Skalmierzanki*, *Wiśliczanki*, *Krakowiacy i Górale*, *Twardowski* i t. p. ulegały nieubłaganemu ostracyzmowi.

(*D. c. n.*)

Gwiazdka Cieszyńska.

W roku 1848 przypomniano sobie na Szlązku, że to kraj przeważnie polski, może dla tego dopiero wtedy, bo przedtem niewolno było. A jednak przedtem podobnie lud tamtejszy kupował jak dotąd kupuje więcej książek do modlenia i spiewników polskich niż cała nasza kraina, a jednak w tamtejszych szkołach jest większa połowa uczniów Polaków. W r. 1860 było w ewangelickiem gimnazyum w Cieszynie na 247 uczniów 115 Polaków, reszta Czesi i Morawianie (44) Słowacy (28) Niemcy (37), Madiary (5), Żydzi (17); w katolickiem, o którem nie mamy wiadomości, było bezsprzecznie jeszcze więcej Polaków. Ci Polacy nie zaszli tam dopiero od r. 1848, lecz owszem, sąto potomkowie najdawniejszych Szlązka mieszkańców.

Mało też się zmienił ten lud, stał się tylko oświeceńszym, niż był dawniej, ale narodowość jego tlała słabym płomykiem tłumiona ciągłym napływem obczyzny; cud, że nie wygasła zupełnie. Jest to dowodem jej żywotności i wskazówką Opatrzności, że się jeszcze nie przeżyła. Przeciwnie — ożywiła się na nowo, a jednym ze znaków tego ożywienia jest Gwiazdka Cieszyńska.

Pisemko to wychodzi już od lat przeszło dwunastu. My nie mamy w kraju naszym pisma tak dawnego, oprócz Gazety Lwowskiej. Z tak długiego istnienia Gwiazdki Cieszyńskiej wolno wnioskować, że była potrzebną, że redaktorowie odpowiedzieli potrzebie, która istnienie tego pisma wywołała, a zatem, że jest pożyteczne.

Gwiazdka Cieszyńska ma dwojakie zadanie: być organem Szlązka dla Polski, organem zaś Polski dla Szlązka. Zdaje nam się to być najgłówniejszym celem pisma takiego aby było lokalne (o tyle, o ile jego miejscowość zająć może cały ogół narodu) a narodowe tak dalece, by swoją krainę do ogółu zbliżyć. A zatem; jak lud polsko-szląski żyje, jakie są jego wspomnienia historyczne, podania, jakie tam się jeszcze przechowują pomniki i zabytki dziejowe, jaki tam dziś panuje ruch umysłowy, stopień oświaty, tamtejszy

stan zamożności, przemysłu, zwyczaje i obyczaje i t. d. słowem, chcielibyśmy z pisma szląskiego poznać Szląsk w jego stanie dzisiejszym.

W tej mierze za mało nam dostarcza Gwiazdka Cieszyńska materyału. Rozmowy Jury z Jankiem byłyby trafnym obrazem życia tego ludu, byle tylko się zawsze tyczyły jakiej żywotnej a lud szląski zarówno jak ogół obchodzącej sprawy. Bardzo pochwalamy n. p. rozmowę o tysiącznej pięćdziesiątej rocznicy założenia Cieszyna, a sądzimy, że rocznic dziejowych zajmujących równie dla Szlązaków jak innych Polaków możnaby wiele znaleźć i ubrawszy je w rozmowy Jury z Jankiem uczynić je przystępnemi dla ludu a nawet powabnemi do czytania. Należałoby tylko przy sposobności tych rozmów wiele rozwinąć energii w oczyszczeniu języka z wyrazów obcych na które są własne, jak tego przykład dobry dano z mulką używaną zamiast żętycy. Rozmowy te powinnyby w ogóle obrabiać stosunki Szlązaków do innych krajów równie jak własne wewnętrzne.

Z drugiej strony sądzimy, że dla Szlązaków obznajamianie ich z bieżącem i dawniejszem piśmiennictwem polskiem, ze zdarzeniami w innych krajach polskich o ile takowe nie przechodzą zakresu Gwiazdki jest bardzo pożądane. W tym względzie odpowiada Gwiazdka w części swemu zadaniu przez umieszczanie korespondencyi ze Lwowa, Krakowa i innych części Polski, i wyjmowanie z innych pism polskich wiadomości rozmaitych. Literacka rubryka jest zaniedbana, a ponieważ widzimy, że Gwiazdka jest obliczona nie na sam tylko lud wiejski, lecz i na oświeceńsze klasy, więc uznajemy tej rubryki wielką potrzebę. Artykuły biograficzne jck n. p. o Piotrze Skardze, są dla pisma takiego bardzo stosowne, ale ich mało. — Beletrystyczna część najsłabiej jest reprezentowana a polsko-historycznej brak prawie zupełny. Sądzimy, że Gwiazdce nie ubliżyłoby, czasem co dobrego z innych pism przedrukować. — Poezyi ma Gwiazdka dosyć, znaleźliśmy między innemi nader miluchną Rozmowę z dziewczyną W. Pola. — Gwiazdkę zasilają pracami swemi ludzie dobrej woli, ochotnicy literaccy; wiemy że w roku upłynionym byli już współpracownikami pp. Mieczysław Dzieduszycki (który dla niej od innych nabywał artykuły, p. Władysław Koziebrodzki, Wład. Miski, ks. E. Janota, F. K. Turski, K. Koszutski, N. Bętkowski, Januszowski, Welichowski i t. d.

Nie tajno nam, że Gwiazdka walczy z niedostatkiem pieniężnym, tem chwalebniejszą jest walka. Redaktor Gwiazdki P. Stalmach jest bardzo wytrwałym w swej pracy i niepoślednią ma zasługę około oświaty ludu szląskiego. Ma on wiele nieprzyjaciół, którzy są nieprzyjaciołmi nie osoby tylko, ale całej sprawy, dla tego obowiązkiem jest naszym wspierać go wszelkiemi siłami, czyto piórem, czy pieniędzmi, czem kto może. Że praca Gwiazdki nie jest bezowocną, a zatem godną wsparcia, tego mamy faktyczne dowody a przytaczamy je podług listu ztamtąd pisanego: „Od czasu, gdy Gwiazdka wychodzi, obudził się we wielu spółziomkach duch narodowy, mianowicie w niektórych młodszych księżach, nauczycielach a osobliwie w ludzie. Skutkiem tego jest, że już w kościołach tutejszych odzywa się polski śpiew i polskie kazanie, w szkołach uczą po polsku, choć lada jako, i książki polskie się pojawiają. Gdy z tego powodu roku zeszłego przeciwna strona usiłowała zaprzeć istnienia polskiej narodowości w Szląsku i wytłoczyć język polski z kościoła i szkoły, konsystorz wrocławski oparł się temu postanowieniu, przytaczając za dowód w szczególności Gwiazdkę Cieszyńską, która na Szląsku wychodzi i przez lud jest czytana. Że inne pisma polskie, wychodzące w Poznańskiem, Galicyi albo Królestwie nie zdołają tutejszego zastąpić, jest oczywistem.“

Jak przeciwne stronnictwo jest skrzętne, mamy dowód w tem, że tego roku założył tam nie aki p. Prochaska (Szlązak) pismo niemieckie które profesorowie i urzędnicy wspierają i rozszerzają drogą perhorescencyi.

Z tego jawna, jak wiele zależy na utrzymaniu Gwiazdki, a oraz jawna, że naszego kraju obowiązek w tej mierze największy.

Obrona Wiednia

12 września 1683 r.

Cienie nocy wrześniowej okrywały jeszcze scenę przyszłego krwawego dramatu. Na najwyższym szczycie alp okolających Wiedeń, na górze Kalenbergu spoczywał pod lichym namiotkiem Jan III. Obok skromnego posłania królewskiego wydzwonił właśnie excytarz trzecią godzinę ranną dnia niedzielnego 12 wrz. Dźwięk hałaśliwego zegara przerwał sen królewski. W parę chwil później siedział Jan III na swem skromnem posłaniu podróżnem. Chwila obecna, jutrznia ogromnego dzieła, które padło królowi polskiemu spełnić w obronie całej chrześciańskiej Europy, napełniała serce jego niepewnością, towarzyszącą każdej ważniejszej przedjutrzni. W małym namiotku siedział król sam; w ręce tak cudownie władającej orężem trzymał teraz pioro, myślą łączył uczucia obowiązku i serca, spajał widok przyszłej walki z obrazem najmilszej Marysieńki, jedynej duszy i serca pociechy, najśliczniejszej żony swej. Któż wie, czy nie z lekką troską na wyniosłem czole jak wodzowi, z tęsknym uśmiechem na ustach ocienionych prześlicznym wąsem jak mężowi Maryi Kazimiry kreślił Jan III następujące wyrazy: „Jedyna duszy i serca pociecho najśliczniejsza i najukochańsza Marysieńko! Luboć już też teraz wierzyć by potrzeba, że pisać czasu nie masz i poczta nie wychodzi aż jutro i nie wiemy jako przechodzić będzie, bo Tatarowie pewnie w tyle nas będą, atoli jednak abyś się moje serce nie turbowała, złożywszy wszystko na stronę, oznajmuję, żeśmy już tu za łaską Bożą stanęli nad obozem tureckim wczora przed wieczorem. Dziś po południu da P. Bóg ostatek nadciągnie. Wypisać niepodobna, co się to tu z nami dzieje, ani wieki takiej drugiej rzeczy słyszały, po tak ciężkiej przeprawie Dunajowej, gdzie się i mosty łamały i worów większa część brodów sobie szukać musiała i kilka ich znalazła po wszystkich ramionach Dunaju prócz samej tylko macicy, gdzie sam idzie bieg wody, bo drugiej tak bystrej rzeki nie masz w świecie.... Ale to wszystko

nie. Większe nam się w tym stało oszukanie, że nam wszyscy powiadali nawet generałowie sami, że skoro wynijdziemy na tę tu górę Kalenberg nazwaną, że tam już będzie dobrze, że tylko winnicami pochyła nam ku Wiedniowi będzie droga. Aż gdy my tu stawamy, naprzód widzimy obóz turecki wielki bardzo jak na dłoni, miasto Wiedeń i za mil kilkanaście dalej, ale od nas tam nie pole, ale lasy jeszcze, przepaście i ogromna góra po prawym boku o czem nam nigdy nie powiedziano i pięć lub sześć wąwozów.... Mówiąc jednak po ludzku a pokładając wszystkę nadzieję w Bogu naszym miałby ten nieprzyjaciel wielką odnieść konfuzyą, który ani się okopał, bo mu się też okopać niepodobna, ani ścisnął swoje pole w kupę, ale tak stoi, jakobyśmy ze sto mil od niego byli... Ale to chyba sama można ręka Boska sprawić może... Ten mój list zabawił mię mile bardzo aż do świtu, zaczym już kończyć muszę, całując milion razy wszystkie śliczności WMści serca mego jedynego..."

Jakoż po wypisaniu ostatnich wyrazów najczulszego pozdrowienia oznajmiono królowi nadeszłą chwilę mszy św. Wraz z całem towarzystwem rycerskiem zanosił król korne i gorące modły. Ukończywszy je obejrzał się na przyszłe pole walki. Była to już szósta godzina ranna. Zeszłe promienie słońca oświeciły dziwnie wspaniały i zatrważający widok z Kalenbergu. Przed oczyma królewskiemi stanął w dali nad Dunajem stary Wiedeń, posępny, dlugiem skołatany oblężeniem. Przed nim drugie nierównie większe miasto, obóz pogański. Przeszło stotysięcy namiotów rozsiadło się białemi chmurami po błoniach. Niezliczona moc pogan wiła się między niemi gęstemi hufcami, niezliczone wojsko stało w pogotowiu do urzeczywistnienia światoburczych zamysłów dumnego pana Orientu. Jakby w poczuciu zagrażającego mu wrogiego ciosu jęknął zdala Wiedeń rozpaczliwem wezwaniem o pomoc. Promykiem jedynej nadziei ratunku zajaśniał mu czerwony sztandar z białym krzyżem zatknięty na szczycie Kalenberga, pod ktorem Jan III sprawiał swoje rycerstwo.

W niebieskim kontuszu, w białym atłasowym żupanie dosiadł król ulubionego rumaka płowej maści a żelastych nóg, i objeżdżał w towarzystwie młodziutkiego pierworodnego syna swego królewica Jakóba wojsko. W obliczu krociowej armii muzułmańskiej zstępowało z gór półkolistym szykiem zaledwie kilkudziesięciotysięczne wojsko chrześciańskie. Od Dornbachu aż w pobliże Nusdorfu błyszczały po wzgórzach lśniące zbroje husarskich i pancernych chorągwi. Za rozkazem króla trzymały one pierwszy rząd na całej linii bojowej, za niemi dopiero leksze hufce i piechota. W odblasku słońca o zbroje zajaśniało całe pasmo gór naprzeciw obozowi tureckiemu dziwnie wspaniałym widokiem, z niezmiernycb wyniosłości alp spadał rząd rycerzy-mścicieli spowity w blasku słonecznym, straszny imieniem samego króla i wodza. Rozsiadła po wzgórzach artylerya ostrzeliwała mu drogę. Jeszcze jeden rząd pagórków poprzedzony od strony polskiej głębokim wąwozem przedzielał nieprzyjaciół. Wnet zapełniły wspomniony wąwóz poczty tureckie, a około trzeciej godziny z południa stanęły wojska w obec siebie. Prawe skrzydło chrześcian wyciągnięte aż po Dornbach składało się z samych Polaków. Dowodził niem osobisty przyjaciel królewski hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski, a zakończały chorągwie Leszczyńskiego i Potockich, między temi najzacniejsza młodego Stanisława Potockiego starosty halickiego. Ku środkowi obozu stało 36 co najzacniejszych chorągwi, pod osobistem przewództwem króla głównego wodza całej armii chrześciańskiej i bohatera dnia dzisiejszego. Tuż obok chorążego królewskiego Prusinowskiego starosty horodeńskiege nieśli znaki królewiców; Jakuba i Aleksandra, Mikołaj Złotnicki chorąży poznański, i Zygmunt Zbierzchowski łomżyński. Dalej niósł chorągiew Jędrzeja Potockiego, karztelana krakowskiego Skarbek, Zamojskiego wojewody lubelskiego Ważyński, kanclerza koronnego Jana Wielopolskiego Łasko, podkanclerzego Gnińskiego Boratyński, i inni znakomici rycerze; wraz zaś obok chorągwi królewskiej prowadził znak hetmana polnego Sieniawskiego, Mikolaj Żaboklicki, chorąży bracławski. Resztę przestrzeni po Nusdorf, zajęły wojska niemieckie. Obok króla, a zawsze jeszcze środkiem obozu, wojska księcia Waldeka i elektora bawarskiego, dalej pod wodzą księcia Karola Lotaryńgskiego, hufce elektora Saskiego, i austryackie wraz z pocztami braci cesarzowej, jak i sprzymierzonych książąt.

Owóż przeciw tym ostatnim, wystąpiły najpierw roty jańczarskie, gdy za wzgórzami wprost całego skrzydła polskiego, uszykowało się główne wojsko tureckie, pod wodzą samego wielkiego wezyra. O wspomnionej godzinie walczyły już wojska niemieckie z jańczarami broniącemi przejścia wąwozem przy Nusdorfie. Równocześnie obiegła prą we skrzydło ćma Tatarów pod wodzą hana krymskiego. Odparł ich skutecznie hetman Jabłonowski, a lewemu skrzydłu posłał król ku wsparciu kilka hufców. Przyszło jeszcze wstąpić na ostatni rząd wzgórzów, zkąd prosta droga prowadziła w obozy tureckie. Temu pochodowi starali się przeszkodzić Turcy i coraz nawalniejszemi oddziałami spływali w wąwóz. W celu utorowania drogi skoczył na nich młody starosta halicki Stanisław Potocki. W krótkim lecz zaciętym boju oczyścił on pole z Turków, dawszy wprzód sam gardło. Wnet posunęły się hufce polskie na właściwą scenę całego dramatu.

Niezliczone owe masy muzułmańskie uderzyły teraz z całym impetem na wojsko polskie. Wraz z synem stanął król Sobieski na czele szeregów; za jego przykładem poszli wszyscy znaczniejsi wodzowie. Na całej przestrzeni zawrzała śmiertelna walka. Mając baczne oko na obroty nieprzyjaciela walczył prócz tego Jan III jak zwykły żołnierz Nie sprostali Tatarzy walecznemu oporowi i rozpierzchnęli się po polach, okrążając w tyle nasze rycerstwo. Stało się to już ku wieczorowi po dwugodzinnej zaciętej walce. W tymże czasie dotarli Niemcy, dzięki owym posiłkom królewskim uwolnieni od jańczarów w kraniec obozu tureckiego przy Dunaju. Zwrot ten jak podniósł niesłychanie animusz chrześcian tak znowu rozsiał niezmierny popłoch między pogany. Nie powtarzając już natarcia pierzchnęli Tatarzy właśnie gdy król z całą potęgę rzucił się między hufce nieprzyjacielskie. Turcy zaczęli się cofać. Nie pomogła rozpacz wezyra nawołującego do siebie hufce: „Znamy króla polskiego i nie damy mu rady" odpowiadali mu pierzchający. Jakóż późnym wieczorem dotarł Sobieski pierwszy do namiotów

wezyrskich, kiedy Turcy w największej trwodze opuszczali obóz. Znużony całodzienną walką zsiadł król polski z konia. Okrążyło go natychmiast liczne rycerstwo, książęta, wodzowie i tłumy żołnierstwa. Wszyscy cisnęli się do rąk nóg królewskich, całując szaty jego, powtarzając w najwyższem uniesieniu radości i uwielbienia *»Salvator noster...* nasz zbawiciel.“

Równie dzielny pogromca jak wódz przezorny pojął Sobieski wnet teraźniejsze położenie. Nie dając się unieść nadmiernej radości był on tego przekonania, że pogrom ten tylko chwilowe sprawił przerażenia, i że za ochłonięciem wrócą pewnie zawsze jeszcze kilkakroć liczniejsi od zwycięzców pierzchli nieprzyjaciele. W tej myśli rozkazał całemu wojsku gotowość do nowej walki. A sam wielki bohater dnia dzisiejszego usiadł na swym podróżnym materacu pod przepysznym zdobytym namiotem wezyrskim czuwając przez noc całą nad bezpieczeństwem ludów.

Ale Turcy nie powrócili więcej. Natomiast przed świtem rozpoczęły się sceny najwygórowańszej radości i uwielbienia polskiego króla. Uwolnieni jeńcy, wyszli z obronionego miasta mieszkańcy łączyli głosy swe z rozradowanem żołnierstwem. Jak prawdziwy tryumfator wyglądał Sobieski śród tej ciżby różnorodnego ludu, który wszystek jemu swoje ocalenie zawdzięczał. Wszakto był jeden z najwspanialszych czynów królewskich, który tak bezpośrednio ulżył ludzkości. A cóż to dopiero za uniesienie towarzyszyło królowi przy wjeździe do Wiednia, jego chwilowemu tam pobytowi i wysłuchaniu mszy dziękczynnej w tumie ś. Szczepana! Wieczorem dopiero powrócił Jan III do obozu; do późna rozlegały się w koło niego okrzyki radości i uwielbienia. A gdy cienie nocy uspokoiły gwarną wesołość, gdy król powtórnie ujrzał się samotnym na swem podróżnem skromnem posłaniu w bogatym namiocie wezyrskim, pochwycił za pióro i kreślił w miłej zadumie następujące wyrazy:

„Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza i najukochańsza Marysieńko! Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięztwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Nieprzyjaciel zasławszy trupem aprosze, pola i obóz ucieka w konfuzyi. Wielbłądy, muły, bydle, owce, które tu miał po bokach, dopiero dziś wojsko nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą... Taka się to rzecz niepodobna stała, że dziś już między pospólstwem tu w mieście i u nas w obozie była trwoga rozumiejąc i nie mogąc sobie inaczej perswadować, jeno że nieprzyjaciel nazad wróci... Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni. Jam został jego sukcesorem, bo po większej części wszystkie mi się po nim dostały splendory, a to tym trafunkiem, że będący w obozie w samym przedzie i tuż za wezyrem postępując przedał mi jeden pokojowy jego i pokazał namioty jego tak obszerne jako Warszawa albo Lwów w murach. Mam wszystkie znaki jego wezyrskie, które nad nim noszą. Chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę i którą dziś jeszcze posłałem do Rzymu Ojcu św. przez Talentego pocztą.... Nie rzekniesz mi tak moja Duszo jak wiesz tatarskie żony mawiać zwykły mężom swoim bez zdobyczy powracającym, żeś ty nie junak kiedyś bez zdobyczy powrócił, bo ten co zdobywa w przedzie być musi... Dziś byłem w mieście, które by już nie mogło było trzymać się dłużej nad dni pięć; oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co to tam miny porobiły... Wojska wszystkie, które bardzo dobrze swoją czyniły powinność, przyznały Panu Bogu i nam tę wygraną potrzebę. Kiedy już nieprzyjaciel począł uchodzić, przybiegały do mnie książęta jako elektor Bawarski, Waldek, ściskając mnie za szyję a całując w gębę, generałowie zaś w ręce, w nogi. Cóż dopiero żołnierze! Oficerowie i regimenta wszystkie wołały: *Ach unser brawe Kenig!* słuchały mię tak, że nigdy nasi.... Teraz książęta się zjechali i cesarz daje znać o sobie, że jest za milę, a ten list kończy się aż teraźniejszym rankiem, nie dają mi tedy dopisywać i dłużej się cieszyć sercem moim...“

B. K.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.